Nr. 32 i 33. Rok III.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH

CZASOPISMO ILLUSTROWANE WYCHODZI TRZY RAZY Lwów, 10. Listopada 1880. NA MIESIĄC: 1, 10 i 20 każdego miesiąca

Prenumerata wynosi we Lwowie:		Na prowincji (z przesyłką pocztową):	
rocznie	9 zł. — ct.	rocznie	10 zł. 20 ct.
półrocznie	4 „ 50 „	półrocznie	5 „ 10 „
kwartalnie	2 „ 25 „	kwartalnie	2 „ 55 „
miesięcznie	— „ 75 „	miesięcznie	„ 85 „

W Poznańskiem i Prusach 5 marek kwartalnie. — We Francji i we wszystkich innych krajach 6 fr. kwartalnie, które przesłać należy przekazami pocztowymi.

Z Poznańskiego i Prus można przesełać prenumeratę przekazami pocztowymi lub prenumerować w księgarni J. K. Żupańskiego w Poznaniu.

Numer pojedynczy 30 ct.

Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy.

Redakcja i Administracja Dziennika dla Wszystkich przy ulicy Rzeźbiarskiej Nr. 1. A (Łyczaków), gdzie się przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia. Prenumeratę z prowincji i z innych krajów przesełać należy przekazami pocztowymi franco pod adresem: Do Administracji Dziennika dla Wszystkich we Lwowie. — Listy powinny być frankowane.

Za granicą ogłoszenia przyjmują: w Wiedniu: Haasenstein et Vogler Wallfischgasse: A. Oppellik Stubenbastei 2; Rotter et Comp. I. Riemergasse 13; Daube et Comp. Maximilianstrasse 3; w Frankfurcie n. M., Berlinie, Wrocławiu, Hamburgu, Brunświku i w Szwajcarji; Haasenstein et Vogler; w Paryżu: ajencja p. Adama rue Clément 4; w Peszcie: ajencja ogłoszeń Langa.

Właściciel i naczelnie kierujący częścią literacką i administracyjną: M. D. Chamski.



Ś. P. GRYGLEWSKI,

artysta-malarz, profesor szkoły sztuk pięknych w Krakowie, zmarły w Gdańsku r. z.

(Rysowane podług fotografji W. Rzewuskiego w Krakowie.)

Od Redakcji.

Z przyczyn niezależnych od redakcji, które zmusiły nas do robienia drugiego odmiennego nakładu — wydajemy razem dwa numera z dwoma rycinami, o zwiększonej objętości.

Kronika krajowa.

Czytamy w „Wieku": Deszcze ulewne, jakie podczas żniw ozimowych trapiły rolników, nietylko naszego, lecz i sąsiednich krajów, opłakane wywarły skutki.

Ponieważ najwięcej wszędzie ucierpiała od onych deszczów pszenica, to też dziś w handlu krajowym, czy zagranicznym, trudno spotkać się z wyborowym gatunkiem tego ziarna. Wszystka prawie jest porosła i naturalnie, mąka z niej na wypiek ciasta wcale dobrą być nie może. Zagranicą więc, gdzie używano tylko chleb biały, to jest z pszenicy, zaczynają zadawalać się chlebem żytnim, a ztąd większe też jest zapotrzebowanie tego ostatniego produktu.

Wskutek tych okoliczności, żyto koniecznie podrożeć musiało i nie długo cena żyta zrówna się z ceną pszenicy, bo dziś już jest różnica niecałych dwóch rubli.

Kombinację tę wyzyskał zaraz „Kladderadatsch." W postaci żokiejów angielskich, ścigają się pszenica z żytem. Pszenica w połowie mety jest jeszcze na przodzie, lecz dogania ją żyto i będąc na pół konia za nią, ma wszelką szansę wygranej.

Nam wszakże nie śmiać się z tej sprawy za „Kladderadatschem", lecz płakać przyjdzie, bo gdy para, to jest korzec żyta i korzec pszenicy kosztuje już blisko rs. 20, a kartofle w dalszych okolicach od Warszawy płacą po 16 do 18 złotych korzec, to wcale niepocieszająca perspektywa!

W dniu 16. listopada, obchodzi *Aleksander Ładnowski*, artysta sceny krakowskiej, 50 letni jubileusz zawodu dramatycznego artysty. Z powodu tej rocznicy, dajemy wizerunek sędziwego jubilata w „Dzienniku dla Wszystkich". Pół wieku zacnej i pożytecznej pracy na scenie polskiej, która w naszych stosunkach narodowych, niezmiernie ważne zajmowała i zajmuje stanowisko — zasługuje, bez wątpienia, na szczere uznanie od całego społeczeństwa. Do licznych oznak tego uznania i my łączymy swoje z całego serca, a przesełamy je nietylko zasłużonemu i zdolnemu artyście, lecz i koledze po piórze, szanowny jubilat, bowiem, obok zawodu aktorskiego, poświęcał się, pracom literackim, z pomiędzy których *monodramy*, najwydatniejsze zajmują miejsce.

---

† W Meranie dnia 25. października zakończyła życie Marja z Dzieduszyckich Jabłonowska, wdowa po ś. p. Antonim Jabłonowskim byłym prezesie Towarzystwa gospodarskiego i pośle na sejm krajowy. Zwłoki zostały sprowadzone do Lwowa i pochowane na cmentarzu łyczakowskim w grobie familijnym.

---

† W Poznańskiem, w Luboni, zakończyła żywot d. 21 bm. Tekla z hr. Ostrowskich Tadeuszowa Morawska, córka wojewody Tomasza Ostrowskiego i Antoniny z Michałowskich, zaślubiona synowi jenerała Morawskiego. Pogrzeb odbył się w poniedziałek.

Sejmik polaków osiadłych w Stanach Zjednoczonych Ameryki, odbył się w przeszłym miesiącu w Chicago. Zgromadzenie uchwaliło wydać odezwę, celem powstrzymania dalszego wychodźtwa do Ameryki i wystawienia stosunków tamtejszych we właściwem świetle.

---

† Jan Zmajłowicz, litwin, współtowarzysz Konarskiego, przyboczny Szamyla, oficer polski z r. 1863, kilkunastoletni więzień, sybirak i tułacz, przeżywszy lat 63, opatrzony św. Sakramentami, dnia 8 października b. r. umarł w Krakowie.

Towarzystwo „Harmonji" odbyło dnia 24 bm. pod przewodnictwem p. Podlewskiego walne zgromadzenie. Dochody wynosiły w roku bież. gld. 6326·89. Suma dochodów nie pokrywa wydatków. Te ostatnie wynosiły gld. 6545·98. Niedobór został pokryty z wpływów świeżych.

Do zarządu przy wyborze uzupełniającym zostali wybrani: p. Bardasz Franciszek, Fintzi F., Gajewski Ksawery, Kiselka Karol, Penter Gustaw i Piątkowski Feliks.

W ubiegłym miesiącu odbyła się wystawa rysunków szkoły politechnicznej. Wystawa taka ma być obrazem całorocznej czynności słuchaczów, dowodem ich postępów i fachowego uzdolnienia.

Jeśli zatem, szersza publiczność ma nabyć rzeczywiście o pracach w tej akademji wykonywanych należytego wyobrażenia, powinna mieć w pracach tych systematyczny przegląd, czego rzeczona wystawa nie daje— i to jest niezawodnie przyczyną nielicznego zwiedzania tejże. Mylnie, bowiem, postępują kierownicy wystawy, wywieszając na widok publiczny najlepiej wykonane rysunki, chowając inne troskliwie w głębi tek. Tym sposobem, postępu słuchaczów nie widzi się i prócz tego o obszarze nauk, w szkole wykładanych wyobrażenia należytego mieć nie można. Na tem najwięcej szerszej publiczności zależeć może, bo też patrząc, choćby na najlepszy rysunek, nie oceni go fachowo, lecz przeciwnie, z liczby rysunków, lub zagadnień powtarzających się sądząc, błędnego o stanie nauk może nabrać wyobrażenia.

Nie będziemy przechodzili szczegółowo wszystkich grup, gdyż przeważnie zawierają one rysunki, nie będące wynikiem pomysłowości fachowej słuchaczy, jak n. p. rysunki odręczne, rysunki z geometrji wykreślnej i t. p. Jedynie w grupie geodezji zauważaliśmy oryginalne plany sytuacyjne i warstwowe z okolic Lwowa, przez słuchaczy zdejmowane. Pomijając grupę budownictwa lądowego, bogatą w konstrukcje często bardzo żmudne (jak n. p. konstrukcje dachów i sklepień) przechodzimy do projektów z przedmiotów: architektury, budowy dróg, mostów, kolei i machin. Najlepiej przedstawia się architektura. Projekta budynków, po największej części w celu ozdoby, lub zaradzenia brakom naszego miasta, rysowane, (n. p. prace pp. Talowskiego i Bieńkowskiego) odznaczają się poczuciem piękna i należytem do celów zastósowaniem zasad architektury. Projekta z budowy dróg i robót wodnych pp. Gürtlera i Kaisera, z budowy mostów i koleyj żelaznych p. Maślanki, odznaczają się umiejętnem i praktycznem użyciem zasad nauki.

Wspomnieć wypada wreszcie o tematach do prac klauzurowych, dla zdających drugi egzamin państwowy i wypracowaniach tychże. Wypracowania tych tematów, stanowi najgłówniejszą część egzaminu.

Pierwszy to raz w naszej szkole politechnicznej, składano egzamina państwowe; słuchacze zaopatrzeni w patenta opuścili zakład, aby przebojem zdobywać stanowiska w tak trudnych dla nas, jak dzisiejsze czasach. Gorliwym, a szczerze zamiłowanym w pracy życzymy powodzenia.

---

† Dnia 6. b. m. zakończył życie w Trembowli ś. p. Władysław Wróblewski, były właściciel Czortkowa, znany powszechnie z gorącego patrjotyzmu i gorliwości na polu prac obywatelskich.

Z Krakowa.

Jak mahometanie odbywają coroczną pielgrzymkę do Mekki i Medyny, aby się pokłonić grobowi Proroka i pomodlić do jego włosa z brody, tak krakowianie raz w rok, udają się w stronę rogatki rakowieckiej, aby na cmentarzu pomodlić się do cieni najdroższych swoich istot, które zawcześnie opuściły ten padół płaczu i złożyć wieńce i laury na ich grobach.

Przez trzy dni miasto umarłych przemienia się w ruchliwy rynek, któremu nic nie brakuje, nawet przekupniów, sprzedających święte obrazki i poświęcane szkaplerze. Dla dziadów są te dni zwykłym jubileuszem, a hojne datki pobożnych, dozwalają i im, chwilowo zapomnieć o nędzy i biedzie.

Wieczorem widok jest wspaniały, gdy wszystkie groby zapłoną światłami; wśród cichych szeptów modlitwy od czasu do czasu wznicsie się śpiew do Boga, nie jedna osoba głośno zapłacze, a nad tem wszystkiem unosi się ponure i załzawione niebo, jako odpowiednia dekoracja, do tego strasznego dramatu, którego początek jest chrztem, a koniec pogrzebem...

Kto wejdzie do przybytku śmierci, ten na chwilę musi zapomnieć o doczesnych rzeczach, tutaj milkną wszystkie intrygi, chęć zbogacenia się, szkodzenie swemu bliźniemu — człowiek przestaje myśleć o swojem ciele i namiętnościach, a przypomina, iż ma duszę nieśmiertelną i, że tam w górze przemieszkuje wszechmocny Stwórca, który mu każe kiedyś zdać rachunek z jego dobrych i złych czynów. To też nastrój zwiedzających cmentarz jest poważnym i milczącym, a gromadki pobożnych pielgrzymów, przeżegnawszy się znakiem krzyża świętego i umaczawszy ręce w święconej wodzie, opuszczają cicho to smutne miejsce i powolnym

krokiem zdążają ku miastu, jakby się bały przebudzić tych, którzy spoczywają snem wiecznym.

Tegoroczny dzień zaduszny, sprowadził na cmentarz jeszcze znaczniejszą liczbę osób, jak lat poprzednich, bo też coraz więcej przybywa mieszkańców, a każdy z nas ma jakąś ukochaną istotę, której się należy przynajmniej w tym dniu poświęcić kilka chwil, krakowianie zaś, ten dzień święcą z szczególną uroczystością.

O godzinie ósmej zapanowała kompletna cisza, wszyscy już powrócili do miasta, a miasto umarłych oddane zostało ich prawym właścicielom, którzy może nawet byli niezadowoleni, że im przerwano miły i błogi spoczynek.

I my także będziemy mieli tramwaje, kilku przedsiębiorców posłało swoje oferty do magistratu a stateczni członkowie rady miejskiej, obradują teraz, komu powierzyć połączenie Podgórza ze stacją kolej żelaznej. Na teraz tylko w tym kierunku będzie szedł tramwaj, później ma być przeprowadzoną jeszcze jedna linja na Łobzów, a druga na Bielany. Oprócz paru niemców, ubiega się także spółka z Poznania, złożona z polaków, na czele której stoją pp. Reinstein i Jarmund. Nie przesądzamy sprawy i nie wiemy, komu magistrat odda pierwszeństwo, ale byłoby lepiej, żeby polacy mieli w swoich rękach, jak obcy. Spółka niemiecka we Lwowie robi świetne interesa, i nasze kapitały wychodzą za granicę, dlaczegóż nie mają ono pozostać w naszych rękach.

W teatrze w przeciągu dziesięciu dni, mieliśmy dwie nowe komedje: „Daniel Rochat“ i „Smutna karjera“. W pierwszej autor konserwatysta, występuje przeciw ślubom cywilnym i z żelazną logiką pobija wszystkie nowatorskie doktryn . W całym utworze znać rękę mistrza, a gra artystów pomogla do świetnego sukcesu. Rolę miss Lei Hendersau, bohaterki komedji, odegrala pani Hoffmann. Chwalić ją, byłoby zbytecznem, bo każda rola, jest skończoną i opracowaną kreacją. Pan Żelazowski, jako Daniel Rochat, podjął się trudnego zadania, przedstawienia deputowanego radykalnego, którego celem jest dojście do władzy. Człowiek ten miał także i serce. Tutaj rozpoczyna się walka pomiędzy miłością dla kobiety i obowiązkami włożonymi na niego, jako przedstawiciela radykalizmu i niszczyciela starego porządku religijnego. Pan Ż. miał wiele chwil szczęśliwych w swojej grze i wywiązal się ze swej roli, zupełnie zadawalniająco. Rolę Bidacha, powiernika Rochata, wykonał p. Fiszer. Jestto jeden z najlepszych polskich artystów, sumienny i pracowity, to też każdy jego typ w komedji, odznacza się wielką prawdą życiową, a jestto największą zasługą artysty być naturalnym i prawdziwym na scenie. Pan Arwin, jako Kazimierz Fargis, utracjusz i *bon vivant*, przedstawil nam paryskiego bulwarowicza, który nic nie robi, tylko się bawi i używa życia. Trochę więcej swobody w grze byłoby pomogło do jaśniejszego oddania tej roli; musimy, jednakże, przyznać, że p Arwin robi ciągle postępy.

Publiczność tutejsza niema wielkiego zaufania do sztuk rosyjskich, jednakże „Smutna karjera“ Kryłowa, dwakrotnie przepełniła teatr widzami. Trzy akta napisane są z pewną werwą i humorem, czwarty i piąty jest wiązanką scen silnie dramatycznych i nie rozumiemy dlaczego autor ochrzcił swój utwór nazwą komedji, kiedy ona jest najczystszym dramatem, mającym tragiczne zakończenie. Cały piąty akt, bohater Rożnow, który jeden tylko miał poczucie honoru i ambicji umiera w oczach publiczności. Pan Żelazowski oddał swą rolę z taką prawdą starannie-realistyczną, że cały teatr assytował jego agonji z namaszczeniem i religijną ciszą. Po zapadnięciu kurtyny grzmot oklasków przywołał do życia nieboszczyka, który został kilkakrotnie wywołany. Pan Wojdałowicz przedstawił nam typ jowialnego i hulaszczego szlachcica rosyjskiego. Grze jego najwybredniejszy krytyk nic zarzucić nie może. Była ona podnietą do ciągłego śmiechu i jej zawdzięczyć mamy, że publiczność po śmierci Rożnowa, opuściła teatr nie z tak bardzo zbolałem sercem. Całe wykonanie komedji było koncertowem i wszyscy artyści przyjmujący w niej udział, załugują na uznanie i pochwałę.*)

W dniu 16. listopada odbędzie się jubileuszowe przedstawienie na cześć krakowskiego artysty p. Ładnowskiego, kończącego pięćdziesiąt lat zawodu artystycznego, pełnego oklasków, cierni i głogów. Sędziwy jubilat dotąd wiernie służy Melpomenie i wychował nam troje artystów, będących dziś chlubą i ozdobą scen polskich.

Pan Stanisław Koźmian, został zaproszony przez dyrekcję teatrów warszawskich, na członka honorowego komisji teatralnej warszawskiej.

Pogłoskom, że p. Stanisław Koźmian ma konkurować o teatr lwowski, możemy ze wszelką stanowczością zaprzeczyć, jako nie mającym żadnej podstawy. *Ignacy Jastrzębiec.*

Druga korespondencja krakowska. Przyrzekłem Wam napisać trochę szczegółowiej o stanie sceny krakowskiej, którą również, jak i lwowską, w roku przyszłym oczekują zmiany. Co prawda, w stosunkach artystycznych, szczególniej też ze sfery teatralnej, przyglądać się z bliska i temu, co się przygląda i tym, co są oglądani, nie zawsze na korzyść wychodzi... Najszczęśliwszy podobno, gimnazista na parodyzie, czy galerji...

Teatr krakowski pod wieloma względami, zajmuje odrębne i dość oryginalne stanowisko wśród teatrów polskich. Posiadając na czele dwóch ludzi znakomicie obeznanych ze wszelkiemi tajemnicami sztuki dramatycznej — rozporządza przeważnie siłami młodzieńczemi, z których prawie każdy, gdy trochę skrzydła podrosną, stara się wyfrunąć na szerszą arenę pachnącego życia artystycznego—najzupełniejszy jednak brak miejscowej krytyki, albo jeszcze, co gorsza, obracającej się, w pochlebnych komunałach, sprawia często to, że taki aktor, na innych scenach, gdzie krytyka teatralna reprezentowawa jest różnostronnie i niezależnie przez wiele dzienników, oblany zimną wodą, a nierzadko zmasakrowany, dowiaduje się po raz pierwszy, że nietylko nie jest żadną sceniczną znakomitością, ale, nie będzie nią nigdy... Nie potrzeba się daleko cofać w przeszłość, aby scena krakowska, pod tym względem, dostarczyła nam żywych przykładów.

Czas, który pod względem literackim, pomiędzy codziennemi pismami, posiada redakcję jedną z najstaranniejszych, w dziale krytyki teatralnej, od pewnego czasu, jest prowadzony słabo; recenzje w tem piśmie, robią wrażenie pewnego popisu erudycji literackiej, mianowicie, gdy się pisze o jakiej komedji francuzkiej, a nie posiadając, ani werwy krytycznej, ani oryginalności, ani wreszcie tej bystrości spostrzegawczej, kręcą się w tak oklepanych ogólnikach, szczególniej, gdy idzie o grę artystów, że wolno nam jest podejrzewać skądinąd zdolnego recenzenta teatralnego w *Czasie*, iż to robi chyba umyślnie... Istotnie, drogi, któremi czasem chodzić musi krytyka teatralna, są, nie powiem, niezbadane, bo je badał i zbadał nie jeden, ale kręte i nierówne, po których bardzo często kark łamie... sprawiedliwość literacka... Naturalnie, takiemu Rychterowi, dziś krytyka nie wiele może pomódz, nie wiele zaszkodzić, więcej zirytować, taka Hoffmanowa, albo tacy Fiszer i Szymański, artyści skrystalizowanego już talentu i wszechstronnej rutyny, nie zdoła już zepsuć pochlebstwo, nie zamorduje twórczości obojętność, i nie zwichnie nawet niesprawiedliwość, ale talenta zaledwie rozpoczynające swój zawód, miękkie, jak wosk, z natury właśnie swej młodzieńczości, porywające się na wszystko, nawet... na reżysera, gdy ten stara się odpowiednią drogą prowadzić rozwijający się talent — z braku krytyki, nabierają narowów, które nierzadko zamieniają się w wady organiczne ich artystycznego temperamentu tem trudniejsze do pozbycia, że się zanadto głęboko zakorzeniły.

Młodzież aktorska w Krakowie, w ogóle robi na scenie dobre wrażenie, ale wyróżniających się talentów jest zaledwie kilka. Ma się rozumieć nie może tu być mowy, ani o Rychterze, którego stanowisko na scenach polskich, jest pod każdym względem pierwszorzędne, ani też o Hoffmannowej, Wolskiej, Fiszerze, Szymańskim, i Ładnowskim (ojcu), bo to są talenta znane i uznane, lecz o tej rzeszy młodszej i gorącej, co drżącemi rękami sięga ku górze, aby zaczepić się o jaśniejące gwiazdy sławy i scenicznej popularności... Niema najmniejszej wątpliwości, że wśród sił krakowskiej sceny, niezwykłym talentem, błyszczącym wszystkiemi zaletami samorodnej natury artystycznej, jest panna Stachowiczówna. Pominąwszy pewne usterki w odtwarzaniu postaci, o czem niżej, zdradzające niedostatek rutyny, którą się zawsze nabywa, a nikt się z nią nie rodzi, panna Stachowiczówna, jako aktorka naiwna, zajmuje pierwsze miejsce po pani Popiel. Twierdzimy stanowczo, że, jeżeli jakie uboczne okoliczności, tak często w życiu z jasnego nieba spadające na głowę, a czasem na... serce aktorki, nie wpłyną szkodliwie na rozwój talentu, to panna Stachowiczówna zajmie opróżniające się stanowisko pani Popiel, zwłaszcza, że ta ostatnia, zamieniwszy świetną karjerę artystyczną, na również świetną karjerę życiową, stanie się niezadługo dla sceny polskiej... świetną tradycją, tylko... Indywidualność panny Stachowiczównej, odznacza się

*) Nie rozumiemy, dlaczego szanowny korespondent nie wspomina nic o prześlicznej grze panny Stachowiczównej, która w roli siostry Rożnowa w akcie drugim wychodzi najzupełniej na pierwszy plan. Przypadkiem właśnie znajdowaliśmy się na trzeciem przedstawieniu „Smutnej karjery“ w Krakowie i poczytujemy sobie za obowiązek zrobić tę wzmiankę. (Przyp. Redakcji.)

*

kilkoma wyrazistymi rysami, których mogą pozazdrościć wszystkie kobiety, co przychodzą na scenę po sławę, po oklaski, a przedewszystkiem, aby zdobywać serca słuchaczy i widzów... Głos jakiś dziwnie miękki, a metaliczny, co umie i do łez poruszyć i tlejącą na dnie serca iskerkę, w silny płomień rozdmuchać, niepokalana elastyczność i naturalność ruchów, oczy inteligentne z odcieniem sympatycznej dziewiczej melancholji i niewinnej wesołości, postać wiotka, poetyczna, kompleksja dość ostra i szczupła, jak dla aktorki naiwnej bardzo pożądana, bo przy niej w długie lata można być na scenie tem, czem w życiu młodość tylko robi. W grze panny S., w ogóle misternej, bystrej i nie rzadko zdumniewająco inteligentnej, uderzają czasem, pewne niedokładności, mianowicie: brak jednolitości, skupienia i nieokreślona luźność w odtwarzaniu charakteru, lub zbytek w użyciu środeczków scenicznych nie zawsze kwadrujących z sytuacją i z ogólnym rysunkiem przedstawiającej się postaci, ale to są usterki, które panna S., jeśli będzie słuchała rad i wskazówek dobrego reżysera, albo rzetelnej, choć surowej krytyki, a wreszcie jeśli głębiej i wszechstronniej będzie się zastanawiała nad tem, czem ma być w danej chwili na scenie, usterki te znikną zupełnie.

W jednej korespondencji niepodobna mi ze względu na miejsce, zastanawiać się obszerniej nad wydatniejszemi artystkami i artystami młodszej generacji krakowskiego teatru—muszę więc to odłożyć do następnych korespondencyj, których szereg postanowiłem poświęcić wyłącznie scenie podwawelskiej. — ??.

Z krakowskiego świata muzycznego. — „Niezasłużony, ale szczęśliwy“, taki tytuł nosi znana powieść J. Dierzkowskiego, nam atoli nasuwa się myśl odwrotna: „zasłużony, ale nieszczęśliwy“, a to z powodu koncertu dzielnego skrzypka p. F. M. Friedberga, który tu w dniu 25 października r. b. urządził wieczór muzyczny w sali towarzystwa muzycznego. Publiczności było mało, ale za to prawie cały świat muzykalny krakowski, był tu reprezentowany. Kasa artysty nie bardzo się zapełniła, ale pocieszyć go powinno, iż grał przed znawcami i lubownikami muzyki, którzy go zrozumieć i ocenić zdolni byli. W przejeździe z Weimaru, gdzie grą swą zachwycił Liszta, Bulowa, i W. księcia Weimarskiego — do Lwowa i Odessy — zatrzymał się w Krakowie by tu jak i roku zeszłego dać koncert. Że gra tego wirtuoza się rzeczywiście Lisztowi i Bulowi tak podobała, mamy właśnie dowody pod ręką, a mianowicie utwory tych mistrzów z własnemi dopiskami ofiarowane temuż artyście. P. M. Friedberg grał, bowiem, solo skrzypcowe, w słynnej węgierskiej *„Mszy koronacyjnej“* Liszta; a ten ofiarował mu za to drukowane dwa wyjątki z tej mszy, a mianowicie: Offertorium i Benedictus. Na ustępie pod tytułem „Offertorium“ wypisał Liszt własną ręką: „Franz Friedberg in getreuer Ergebenheit — F. Liszt. Weimar 30. Juni 1880; a na ustępie „Benedictus“ ten pierwszy pianista świata pisze: „Vortrefflich forgetragen in Weimarer Stadtkirche am Sonntag 27. Juni 1880, vom Franz Friedberg“. — Bulow zaś napisał: „Herrn Friedberg ergebenst empfohlen durch H. v. Bulow. Weimar 28. Juni 1880.“

My zauważyliśmy u p. Friedberga dobre prowadzenie smyczka (coup d' archet), które jest najważniejszą częścią techniki instrumentów smyczkowych, gdyż od tego zależy jakość tonu. Sztuka gry na skrzypcach, jest poniekąd sztuką dobrego prowadzenia smyczka. Wirtuoz, który nas do głębi wzrusza, naszą duszę do współczucia z tem, co tonem wypowiada, przyciąga, jest właśnie panem swego smyczka. Artysta ten posiada dobre legato, staccato, jako też mezza di voce, a biegniki, podwójne tony, tryle i flagiolety wykonuje nader czysto. Talent jego reprodukujący wzniósł się na stanowisko, na którem dzielnie zasłużył, na szczytne imię prawdziwego artysty. Gra jego nie nosi cechy pracy i trudności pokonywanych, ale raczej lekkości i swobody. Najwyższe co o nim powiedzieć mogę, jest to, że *gra muzykalnie*. Ton jego nie jest wielki ale szlachetny; zresztą tu dodać muszę, iż skrzypce w ogóle nie są instrumentem zimnej techniki, najwłaściwszym ich udziałem jest *śpiew*, jest *dusza* muzyki. Interesującem jest, iż pan Friedberg należał do liczby tych „cudownych dzieci“ grał bowiem w teatrze krakowskim i sali miejskiej mając skończonyzh lat 4, t. j. w r. 1855; później kształcił się w konserwatorjum wiedeńskiem, a dziś popisuje się jako dojrzały artysta.

Ale wróćmy do programu wieczorku, który zawierał z utworów skrzypcowych „Legendę“ Wieniawskiego i „Rapsodję węgierską“ Hausera, który to ostatni utwór koncertant pysznie interpretował. Trudne pasaże i flaolety były znakomicie wykonane. Oprócz tych rzeczy solowych, grał p. F. pierwsze skrzypce w kwartetach Schuberta, a mianowicie w A-moll i warjacje z D-moll. W kwartetach tych brali udział prócz koncertanta także pp. Singer, (skrzypce secundo), Patzke (wiola) i Sandoz (violonczela). Wykonanie obu dzieł było wzorowe. Główną zaletą zaś było, iż wykonawcy umieli się tak zespolić z sobą, iż przez to powstała ta wewnętrzna harmonja, która jest duszą wszystkich podobnych połączonych działań, a które tylko przez ciągłe grania w ensemblach da się osiągnąć. W kwartetach wirtuoz, musi *się poddać artyście* i wtedy nastąpi gra prawdziwie muzykalna. Nam szczególnie podobało się wstępne Andante w D-moll kwartecie napisane na temat pieśni: „Śmierć i dziewica“ (der Tod und das Mädchen). Jest tu czarowne przeprowadzenie tematu. Pianissimo było prawie idealnie oddane, a tem większą zasługą wykonawców jest, iż zaledwie przed rokiem to samo Andante z warjacjami odegrał tu słynny „kwartet florencki“, który pozostawił po sobie długotrwałe wrażenie.

Program wieczoru zawierał prócz muzyki komnatowej także śpiew solowy i dwa numera fortepianowe. P. Niedzielski odśpiewał piosnkę *Antolika* z „Opowieści zimowej“, Szekspira akt IV. scena 2. i drugą do słów Heinego z muzyką Galla. Pieśni te co do wartości muzycznej nie ustępują wcale „duetowi“, który na ostatnim wieczorku towarzystwa muzycznego był wykonanym i niesłychaną zrobił sensację a którego ocenę w poprzednim numerze „Dziennika“ podałem. P. Niedzielski znany ze swego inteligentnego śpiewu wykonał też i tym razem obydwie piosnki ku zadowoleniu słuchaczy.

P. Henryk Bobiński nauczyciel tow. muz. wykonał na fortepianie piękny „Romans“ Czajkowskiego i „Walec“ Metzdorfa. Ten ostatni utwór, choć nie wielkiej wartości muzycznej, bo cały układ trochę niesmaczny, stanowił atoli dobre pole do popisu z techniki i biegłości, jaką pan Bobiński celuje. Przy końcu produkcji wywoływano kilka razy pp. Friedberga i Galla. Życzymy sobie powtórzenia koncertu, a mianowicie radbym słyszeć p. Friedberga w jakimś większym utworze, a szczególniej w koncercie Paganiniego tego króla skrzypków a który tp trudny utwór p. F. we Lwowie zeszłego roku wykonał.

Maurycy Sieber.

Z Sambora.

Po kilku dniach chwiejnej pogody, ujrzeliśmy się pośród majestatycznie nadchodzącej zimy, która nas jak zwykle powitała przenikliwym wiatrem i tak zwanym kapuśniakiem.

Wspominając o kapuśniaku, nadmienić też muszę i o kapuście, której niezliczoną ilość zwożą codziennie do miasta. Mimowolnie prawie nasuwa mi się pytanie, czy też ta kapusta, którą skrzętne gosposie na zimę w beczkach przyrządzają, nie wpłynęła na wielkie obecne zakwaszenie humorów naszych? Ha! być to może, zwłaszcza, że i ten wciąż siekący kapuśniak przyspiesza rozkład i przemianę cierpkiego humoru na kwaśny.

Oprócz wymienionego bogactwa kwasu, cieszymy się jeszcze bogactwem pewnej substancji, cokolwiek od niego gęściejszej, którą każdy, nieznający nawet, ani chemji ani Sambora natychmiast odgadnie; jest nią naturalna rzecz: błoto nasze wspaniałe, wielkie kochane błoto; że kochane, o tem, ani wątpić, dowodem tego jest, że się z niem w żaden możliwy sposób rozłączyć nie chcemy (?!). Oprócz tych dwojga przyjemności nie mamy podobno żadnych — czyż to nie dosyć?

Wspominałem w ostatniej korespondencji o mającej się odbyć loterji fantowej... Odbyła się też ona, a jak na Sambor wypadła bardzo świetnie, bo po raz drugi postanowiono odłożyć ją na później z powodu, że wiele kosztownych nawet fantów nie zostało wylosowanych, a eo ipso bardzo wiele losów nie rozkupionych. Orkiestra miejska była tego powodem bo uciąwszy walca z Corneville do tego stopnia rozochociła młodzież, że puszczono loterję *w trąbę* a natomiast rozpoczęły się tańce trwające aż do godziny 10. wieczorem.

Teraz kilka słów o naszych nowinkach:

„Pewien mąż ze Sambora postawił wniosek, aby urządzić jakie wieczorki muzykalno-deklamacyjne, odpowiedzieli mu na to inni mężowie tego miasta, że na to będzie jeszcze w zimie dosyć czasu; drugi znów, który myśl wcieliwszy w słowa, proponował urządzenie teatru amatorskiego, nazwany został Filipem z konopji i trzeci wreszcie, nosząc się z myślą utworzenia chóru męzkiego, przekonał się, że chybaby mu wypadało zastać Janem wołającym na puszczy!

Przeczytawszy tę relację, któż ośmieli się teraz wątpić o wesołości i o powabie towarzyskiego życia w Samborze?

Plotki i nieplotki.

* W Paryżu Sara Bernhard, zanim udała się za ocean Atlantycki, wprowadziła modę kapeluszy malowanych. Na zewnętrznej stronie kapelusza, mieszczą się jaskrawo malowane ptaki, owoce, głowy i biusty. Gdy tak pójdzie dalej, elegantki paryzkie zaczną nosić na głowach kopie obrazów i zrobią konkurencję galerjom i salonom sztuki.

* Podwójna szkoda. Pogadanka małżeńska pewnego stadła na Pradze w Warszawie, podczas obiadu w niedzielę, tak czuły wzięła obrót, że jejmość poczęstował jegomościa talerzem w twarz, tak skutecznie, iż nos jego, odcięty zupełnie, zawisł na kawałku skóry zaledwie. Jegomości zabrano do szpitala, jejmość podobno do kozy. Tak więc biedak poniósł dwie szkody naraz, bo i nosa i zacnej połowicy został pozbawiony. Zdaje się jednak, że tę drugą stratę łatwiej i prędzej przeboleje, niż pierwszą.

* Osobliwszy fakt stwierdziła komisja magistratu lipskiego podczas odbytej w zeszłym tygodniu rewizji po piekarniach lipskich. Oto stwierdziła, że wypiekane w tych piekarniach bochenki wszystkie bez wyjątku miały większą wagę, niż nakazują przepisy. Cóż na to powiedzą nasi piekarze. Plotka powiedzą — a jednak nie jest to plotka...

* Zmarły niedawno Jakób Offenbach miał przyjaciela, dziennikarza S., którego złośliwości obawiano się powszechnie. — „Czy wiesz, spytał raz p. S. Offenbacha, jakiebym sobie obrał zajęcie, gdybym był na twojem miejscu? — Ciekawy jestem, odparł zapytany, — „Zostałbym... kompozytorem“ rzekł pan S. Powiadają, że aż do śmierci Offenbach nie mógł przebaczyć tego dowcipu dziennikarzowi.

* Trzykołowe staniki tak zwane „Jenny Cuirasse“ zaczynają się rozpowszechniać i u nas. Wprawdzie zagraniczny żurnal dla naszych pań cokolwiek zmieniono, przez co staniki owe są mniej... nieprzyzwoite, w każdym razie jednak zbyt szybko podążamy na modą, gdy idzie o uwydatnienie... wdzięków niewieścich... A jednak, któż nie wie, że tajemniczość, szczególniej co do wdzięków, pociąga bardziej, aniżeli... otwartość.

* „Wiek“ pisze: Burza czwartkowa obok scen pelnych grozy, obfitowała też w sceny nietylko komiczne, co nic nadzwyczajnego, ale i w sentymentalne. Opowiadano nam, że na jednej z ulic, należących do dzielnicy miasta już po za alejami Jerozolimskiemi położonej, w niszy prowadzącej do niezajętego, a więc zamkniętego obecnie, tak zwanego tunelu, znalazło się nagle dwoje młodych ludzi płci obojej, wrzuconych tam niemal, siłą wiatru, czy trąby powietrznej. Wicher, jak wiadomo, tak prędko nie ustał; trzeba było przynajmniej pierwszy impet przeczekać. Jak długo ten impet trwał, i co przez ten czas w niszy mówiono, o tem kronika milczy; twierdzi tylko, że kiedy się nieco na świecie uspokoiło, wyszło z niej dwoje narzeczonych, błogosławiących mądrość trąby, która ich w owo schronienie zagnała.

ROMANS Z AKTORKĄ

POWIEŚĆ

ZORJANA.

(Dokończenie).

VII.

Michał po powrocie do domu, ani pomyślał o śnie. Był w dziwnym jakimś stanie. Czuł w głowie szum, a w piersi było mu pusto i czasem tylko uczuł, coś, jakby szarpnięcie bolesne. Stan ten nie był podobnym do tego, w jakim się zwykle dawniej znajdował, gdy go zazdrość paliła. Dawniej po walce wewnętrznej czuł łzę w oku i ulgę z nią — dziś, oko było suche, w głowie nie czuł, jak dawniej gorączki, usta miał zimne jak lód.

Gdyby się Michał mógł ujrzeć, jakim był przed laty czteru, sześciu lub ośmiu, aniby chciał uwierzyć w możliwość takiej zmiany. Niegdyś dzielny, ognisty, pracowity i zawsze skory do walki z trudnościami i przekorami, on który, jakby cudem zdobył sobie pierwsze iskierki oświaty, który jako samouk budził podziw i rokował najświetniejszą przyszłość, dziś był prawie złamanym. Umyślnie rozpisaliśmy się długim wstępem o świetnym początku Michała, zajęliśmy się tak obszernie, rozwinięciem dzielnego charakteru w dziecięciu i chłopcu, aby teraz wykazać złamanie, znękanie, wypalenie tej pięknej duszy w namiętnym romansie z aktorką.

Tyle rokujący talent młodego Michasia, walczący za oświatę, już w pierwszych dniach z ciemnotą otaczającego go ludu, kształcony potem umiejętną ręką profesora, wspierany dobrym bytem materjalnym, poszedł teraz w zaniedbanie. A jeżeli co, to to niezawodnie najbardziej się do tego przyczyniło, że Michał zamiast walczyć o zdobycie egzystencji i wśród tej walki pracować, napotkał na najzacniejszego opiekuna, który dał mu najzupełniejszy dobrobyt. Jeżeli pan Józef, łożąc na wykształcenie Michała, powodował się doświadczeniem, że najczęściej ci, co z ludu własną pracą się wydobyli, tylko dla karjery pracują, a tem samem straconymi są dla pracy dla społeczeństwa, to los zawistny do pewnego stopnia zwichnął jego plan. Bo właśnie źle było dla Michała, że opływał w dostatki, bo przez to stracił hart duszy, konieczny każdemu, który dla społeczeństwa ma pracować. Był wprawdzie pilnym, postępował w nauce, ale trzeba tylko było silniejszej nieco pokusy — a taką był właśnie romans z Stanisławą, aby zwichnąć go na długo...

Tak, nie wahamy się powiedzieć, Michał był zwichnięty.

Czuł to może poniekąd sam.

Znękanie przygniotło mu duszę, apatja jakaś ogarnęła go zupełnie. Stan ten byłby trwał długo, gdyby Stanisława rozkochawszy go, nie umiała wodzić na pasku.

Następnego zaraz dnia po maskaradzie, spotkał ją idącą do teatru. Kilka jej słów, jednego spojrzenia potrzeba było, ażeby zachwiać w nim cały gmach nieufności, ażeby spalić do szczętu całą zazdrość.

A Michał kochał ją bardzo, nie miał siły oprzeć się jej urokowi, uległ mu zupełnie i wierzył znowu święcie w jej miłość. Kilka chwil wystarczyło, by na nowo zbudować czarodziejskie pałace złudzeń i szczęścia.

Śmiał się sam z wszystkich swoich przywidzeń, znajdywał frazesy błazna głupiemi, a jedno słówko rzucone niby niechcący przez Stanisławę, upewniło go, że to była intryga zazdrośnika, kto wie, może Jarosława.

I czuł się szczęśliwym i ani pytał o nieznajomego mężczyznę; Stanisława zdaje się zapomniała o nim i nie wspominała także.

Powracał rad i wesoły do domu, ciesząc się naprzód z chwil rozkoszuych, jakie spędzi dziś jeszcze u swej lubej.

W ciągu dnia wychodził kilka razy. Nad wieczorem powróciwszy, zastał list zaadresowany nieznaną mu ręką.

Obojętnie rozerwał pieczątkę, zbliżając się do okna, bo dla zmierzchu nie mógł odczytać kilka słów mieszczących się na kartce, pospiesznie skreślonych. Przy zmroku z trudnością odczytał:

„Jesteś ślepym i nie dajesz posłuchu „nikomu, dziś przekonasz się dowodnie, „że jesteś tylko igraszką kobiety, oddanej „innemu. Twój rywal, a jej kochanek i „bodaj czy nie przyszły mąż, będzie dziś „wieczór u niej.“

List był bez podpisu.

Michał porwał się, jak rażony piorunem, w oczach pałał gniew i oburzenie. Zmiął ten przeklęty papier, w konwulsyjnie ciśniętej dłoni i chwiejąc się, nieprzytomny oparł się o ramy okna.

W pokoju było już ciemno. Michał stał nieruchomy; po dobrej dopiero chwili oprzytomniał, zdawał się namyślać. Prędko zebrał się i wyszedł.

Spieszył do Stanisławy.

Prędki chód zmęczył go. Stanął na chwilę, aby odetchnąć swobodniej i podążył na górę.

Michał bywał u Stanisławy często, nie potrzebował się zwykle długo służącej opowiadać, bo miała rozkaz przyjmowania go. Tym razem spotkał ją w przedpokoju.

— Pani w domu — zapytał z pospiechem.

— W domu, ale chora, nieprzyjmuje nikogo.

Wyrazy te wymówione, z właściwą pokojówkom impertynencją, gdy mają rozkaz nieprzyjmowania kogoś, brzmiały jakoś dziwnie w uchu Michała.

— Chora? — powtórzył przeciągle.

— Chora, proszę pana.

Stał jeszcze chwilę nieruchomo, potem zwolna nic nie mówiąc wyszedł.

Na ulicy zatrzymał się.

— Chora!?...

Spojrzał w okno na górę. Świeciło się.

Na dworze było zimno. Płaty śniegu padały coraz częściej, coraz gęściej; wiatr coraz silniej podmuchem porywał i ciskał gęste płaty śniegu, migając w ciemności nadchodzącej nocy, szarą zawieruchą. Zabierało się na wielką zamieć.

Michał stał przed domem w ponurem zamyśleniu i zdawał się wahać. Snać myśl zdrady przemogła w nim wiarę, bo postąpiwszy kilka kroków naprzód, oparł się o drzewo małego skweru i z okiem wpatrzonem w okno mieszkania Stanisławy, czekał.

Noc zapadała coraz ciemniej, mróz ściskał bardziej i bardziej, wicher wzmagający się, smagał gęstymi płatami śniegu i świstem przeraźliwym przerywał ciszę nocną; Michał stał nieruchomo. Jakie myśli zajmowały jego głowę, jakie uczucia walczyły w piersi, Bogu jeno wiadomo. Stał, jak posąg, nieczuły na mróz, głuchy na poświst wichru.

Stał długo, zegar wybijał kwadrans po kwadransie, godzinę po godzinie. Na ulicy było zupełnie pusto, burza wyła coraz przeraźliwiej. Michał stał ciągle.

Zegar na pobliskiej wieży, wybił dziewiątą. Okno zawsze oświetlone jednostajnie nie widać w niem nic.

W tem zarysował się na niem cień. Rysował się coraz wyraźniej, aż wreszcie można było dokładnie rozpoznać postać mężczyzny. Zbliżył się do okna i wsparł o ramy, zdawał się myśleć.

Michał wytężył wzrok i poznał w nim owego nieznajomego z maskarady.

Po chwili, zarysował się cień drugi. Był to cień kobiety. Na jasnem tle okna, rysowała się sylwetka wyraźnie — była to Stanisława.

Zbliżyła się do mężczyzny, położyła swą drobną rączkę na jego ramieniu. On zbliżył tę rączkę do ust i trzymał ją długo, długo...

A Michał?

Michał stał na mrozie, wśród zawierzuchy i widział to wszystko. Nie czuł zimna, ale gdy zobaczył ich dwoje, gdy zobaczył, jak ten obcy przyciska jej rękę do ust, uczuł nagle taki straszny ból w głowie, że aż jęk wydobył się z zaciśniętych ust jego.

I nie patrzył się więcej. Zdawało mu się, że mu głowa rozpęknie, że płomienie zajmują mu mózg cały. Nie widział nic przed sobą i tylko instynktowo podążył, chwiejnym krokiem, jak pijany, do domu. Zaciągnął się, jakoś aż do swojego pokoju. Ale sił mu już niestało, ból ścisnął jeszcze silniej głowę i upadł na podłogę.

W pokoju zaległa cisza; chłód i zimno, czyniły ten spokój jeszcze bardziej martwym. Płatny sługa hulał gdzieś wesoło, a zapomniał zapalić w piecu.

Na dworze wył wicher przeraźliwy, a w zimnej izdebce cicho, tylko ledwo słyszalny jęk, lub głębokie, gorączkowe westchnienie wydobędzie się z piersi i zginie gdzieś w ciemnym kącie...

VIII.

Już było blisko południa na drugi dzień, gdy redaktor dowiedział się o słabości Michała. Pospieszył natychmiast, wstąpiwszy po drodze po lekarza.

Michał leżał w gwałtownej gorączce. Co chwila zrywał się, toczył wzrokiem obłąkanym, z którego błyszczał chorobliwy ogień, usta spiekłe, prawie czarne, pierś robiła gwałtownie, nieregularny, krótki oddech, zatruwał gorączką powietrze.

Nie poznawał nikogo. Na zapytania redaktora i lekarza nie odpowiadał nic, tylko jakieś urywane słowa, bardziej podobne do wydobywającego się krzyku, to grozy, to boleści, to znowu żalu i rozpaczy, plątały mu się na ustach.

Redaktor stał oparty o łóżko, milcząc. Twarz jego zasępiła się, oko kryło pod opuszczoną rzęsę, a na chwilę zajaśniało w niem coś, niby łza...

Bo i trudno było powstrzymać się od żalu, na widok opuszczonego sieroty, co przed kilkunastu godzinami, tak jeszcze był szczęśliwym — teraz sam, rzucony na łoże boleści, pozbawiony przychylnej, opiekuńczej dłoni, nieprzytomny, nie wiedząc nic o świecie, padał ofiarą rozpaczy.

Kiedy takie myśli snuły się po głowie redaktora, lekarz badał stan chorego. Zaordynował natychmiast środki zaradcze, przyrzekając troskliwe zajęcie się pacjentem.

— To dopiero początek — rzucił, żegnając redaktora — zobaczymy, co się dalej pokaże.

— Niech konsyljarz nie szczędzi trudów i nie zapomina o chorym — prosił redaktor.

— Bądź pan spokojnym, co sztuka może, uczynię — reszta w ręku Boga.

Istotnie, był to dopiero początek słabości, ku wieczorowi gorączka zaczęła się wzmagać, a w trzech następnych dniach, doszła, pomimo najenergiczniejszych środków leczniczych, do przerażającego stopnia.

Teraz dopiero. zaczął chory rzucać się rozpaczliwie, a gorączkowy potok słów, dawał obraz walki, pożerającej duszę. Teraz dopiero, wyszła cała okropność zdrady na wierzch. Michał wił się z boleści, dając folgę szalonemu wybuchowi słów żalu i rozpaczy.

Był to widok przerażający.

Redaktor stał u okna zamyślony, chmurny, dłoń zaciśnięta, znamionowała tłumienie uczucia, z którem nie chciał się zdradzić. Zewnętrzna posępność powstrzymywała wyjawienie żalu i współczucia. Lekarz siedział przy łóżku, czoło sfałdowane i oko miał zamyślone, snać szukał koniecznego, a trudnego środka.

Przez ten czas chory nie uspokajał się, przeciwnie, wybuchy przybierały coraz gwałtowniejsze formy.

Po długiem zamyśleniu powstał.

Redaktor spojrzeniem zapytał o rezultat.

— Jeden mam sposób — mówił powoli, zbliżając się ku oknu — zdaje mi się, że jeśli on nie, to żaden na nic się nie przyda. Trzeba koniecznie, ażeby panna Stanisława tu przyszła.

— Czy sądzisz pan, że to będzie skuteczne?

— Zdaje mi się; musi przyjść i ukoić ból chorego. Do pana należy wymódz na niej, ażeby spojrzeniem i słowem naprawiła to, co się stało złego. Kobiety mają w wzroku i głowie potęgę niezrównaną, one mogą człowieka od zmysłów odprowadzić, wierzę, że mogą, co zabrały powrócić.

— Dobrze, spieszę natychmiast — odpowiedział redaktor. Proszę chorego nie opuszczać ani na chwilę, powrócę, jak najrychlej.

W pół godziny potem, spieszyła Stanisława do mieszkania Michała z redaktorem. Kilkoma słowy skłonił ją do tego kroku. Zaraz na pierwszą wiadomość o zaszłem nieszczęściu, wzruszyła się bardzo; jakieś przerażenie. litość i żal, naprzemiany rysowały się na jej twarzy.

— Chodźmy co prędzej! — wołała i poczęła skwapliwie ubierać się.

Sanki mknęły szybko. Redaktor przedkładał swój plan, rzucając przy tem niejedno gorżkie słowo, mówiąc, że powinna bodaj udaniem ile możności naprawić to, co bezmyślnie zdziałała. Stanisława, milcząc słuchała.

Szybko pobiegła naprzód; redaktor ledwo mógł za nią zdążyć. Zatrzymała się chwilkę na progu. W tej chwili błędny wzrok Michała, spotkał się z jej okiem. Z jego piersi wydobył się okrzyk, w którym radość i ból walczyły. Rzucił się gwałtownie, podniósł na poduszce, ale sił brakło i padł napowrót.

Stanisława stała nieruchoma zaledwie kilka sekund. W mgnieniu oka była już obok łóżka.

— Michasiu!—zawołała głosem drżącym.

Więcej mówić nie mogła. Uczucie prawdziwe wezbrało w jej piersi, w oku zabłysła łza. Zsunęła się na kolana u jego łoża, pochwyciła wyciągniętą ku niej dłoń i tuląc ją do drżących ust, wyszeptała:

— Przebacz...

Michał zdaje się dosłyszał. Drżał cały, nieruchomy leżał, z okiem wlepionym w piękną kobietę, której rozrzewnienie i litość, nowego dodały uroku. Bezsilny nie mógł ani słowa wypowiedzieć, patrzał tylko na nią, ulegając jej wpływowi.

A ona, z jego ręką w swych dłoniach klęczała, niezważając na patrzących na nią: redaktora i lekarza.

Dziwna kobieta!

Wczoraj trzpiotowstwem swem i zalotnością, a może i zupełną zdradą uczucia, omal nie zabiła zakochanego Michała, dziś na widok boleści dała się porwać uczuciu tak prawdziwemu, tak szlachetnemu, że potem, co widzieliśmy, ani by się tego można spodziewać.

Lekarz przypatrywał się swemu pacjentowi długo, uważnie, twarz jego zakłopotana, przybrała wyraz spokojniejszy, uśmiech zadowolenia przebiegł po ustach.

— Udało się.

Redaktor tylko uścisnął go i odetchnął swobodniej.

Minął tydzień, a Michał, jakby cudem powracał do zdrowia. Jak złamana roślinka, pod wpływem ożywczych promieni, pod wzrokiem Stanisławy nabierał życia. Gorączka minęła zupełnie, umysł uspokoił się, tylko wycieńczenie sił fizycznych przykuło go do łóżka. Objaw to zresztą bardzo zwykły; lekarz zapewniał, że nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa, owszem, że ten stan bezsilności, pozwoli do reszty uspokoić się głowie i sercu.

Redaktor, którego choroba Michała dotknęła bardzo, myślał o następstwach zbliżenia się ponownego Stanisławy do Michała. Po krótkim namyśle poszedł do niej.

Bez wstępu przystąpił do rzeczy. Zapytał otwarcie czy Michała kocha, lub też nie, objaśnił, że zna cały ich poprzedni stosunek i żądał wyjaśnienia, co do owego nieznajomego mężczyzny z maskarady.

Stanisława była zrazu zakłopotana. Gdy jednak redaktor do tego, co mówił przedtem dodał, że tu idzie o spokój, szczęście i przyszłość Michała, że igranie z nim byłoby zbrodnią, odpowiedziała, jak żądał, otwarcie.

Michał zdobył sobie jej sympatję, jej nawet zdawało się, że to miłość, a jednak tak nie było. Była to przychylność, która u kobiety dość lekkomyślnej, swawolnej, czas jakiś wydawała się miłością. Wabiła chłopca bez myśli o jutrze. W kochaniu tem jej, było coś zakrawającego na szał. Stanisława nawet nie zastanowiła się nad tem, że to może jest wynikiem tłumionej na dnie serca miłości prawdziwej, nieznanej nikomu, miłości ku innemu. Tym innym był właśnie ów mężczyzna z maskarady. Kochała go dawno jeszcze, gdy była w Warszawie. On kochał ją także, jednak dla stosunków familijnych, nie mógł się z nią ożenić, jak pragnął. Doznawszy wzgardy ze strony jego rodziny, wyjechała Stanisława do Lwowa, tając swą miłość, usilując ją przygłuszyć. I zdawało jej się, że już nie kocha. Była swobodna i wesoła. Minęły dwa, trzy lata. Poznała Michała i zdawało jej się znów, że go kocha. Ale nie była to miłość, cały jej przebieg był tego dowodem. Nagle jej pierwszy kochanek powrócił i wszystko się zmieniło. Stanisława zbyt była płochą, ażeby rozwiązać stosunek z Michałem w jakikolwiek inny sposób — stało się, czego nawet nie przewidywała.

Stanisława nie była złą, Michała lubiała — to też na jego widok rozczuliła się, jak nigdy może, uczuła winę swoją i oto, dla czego taką była u łoża chorego kochanka.

Opowiedziała redaktorowi wszystko, zakończyła tem, że pierwszy jej kochanek przybył, aby stanąć z nią na ślubnym kobiercu.

Po krótkim namyśle, stanęło na tem, że powinna na czas jakiś zupełnie usunąć się z oczu Michała, co było tem łatwiejszem do usprawiedliwienia, że nie mogła się narażać na złe jezyki.

Redaktor wytłómaczył to Michałowi i rad był bardzo, że ten uznawał słuszność takiego postępowania.

Na teraz była rzecz ułożona. Trzeba było pomyśleć o zabliźnieniu rany w sercu i przygotowaniu Michała na przyjęcie tego, co się miało stać później.

Tak wlokły się dnie zimowe powoli, a przecież dzień po dniu upływały tygodnie całe. Michał przychodził powoli do sił, nie opuszczając wszakże pokoju, kontent był, że mógł już usiąść w wygodnym fotelu, lub przejść się po pokoju.

Był smutny i tylko w rozmowie z redaktorem ożywiał się czasem. Rozmawiali wiele, często nawet o Stanisławie. Zauważał wszakże redaktor, że w rozmowach tych, z początku mówił Michał częściej o niej i gorąco, później coraz mniej, a wreszcie jakby zapomniał, że znał ją kiedy. Ale wraz z tem zapomnieniem przychodził smutek, który zasępił młode czoło. Nieraz wśród długiej rozmowy ogólnej westchnął Michał, a choć tłumił to westchnienie, uważał je redaktor i myślał o niem.

Dnia jednego, kiedy tak obaj rozmawiali, otworzyły się cicho drzwi i ukazał się w nich słuszny mężczyzna. Zaledwie go Michał ujrzał, rzucił się ku niemu z radością. Na przywitanie zaledwie wymówił:

— Kochany profesorze!

Był to profesor jego z S*.

Od chwili przybycia dawnego swego profesora, zmienił się Michał bardzo. Smutek, który w ostatnich czasach, osowił mu duszę, zniknął powoli, a na jego miejscu pojawiła się pogoda umysłu, nieledwie wesołość. Wraz z tą zmianą zawitał spokój i powaga, twarz szczupła i blada jeszcze, przybrała wyraz myślący.

Po pewnym przeciągu czasu mógł już nasz Michał, bodaj w południe, w dnie pogodniejsze wyjść trochę na przechadzkę. Rad odetchnął świeżem powietrzem.

Profesor bawił dość długo, tem bardziej, że zbadawszy stan duszy Michała, postanowił sobie, wyleczyć go zupełnie. Dla tego też, spędzał długie z nim godziny, pilnie badając wrażenie, jakie na Michale jego słowa czyniły.

Z przybyciem profesora, wróciły Michałowi wspomnienia z lat ubiegłych. Przypominał sobie błogie chwile, spędzone u studenckiego stolika, wspomniał zapał do nauki, a często sięgał w wspomnieniach jeszcze dalej, bo do cichej chaty szkolnej w wiosce rodzinnej.

Wspomnienia te, budził jeszcze bardziej profesor tem, że rozmawiał z Michałem wiele o pedagogji, sam bowiem pracował obecnie nad dziełem pedagogicznej treści. Zwykle spędzał kilka godzin w bibliotekach, zbierając materjały, powróciwszy do domu, wdawał się często w długie dysputy z Michałem. Zdziwił się nie mało, znalazłszy u niego obfity zapas wiedzy w tym kierunku. Michał znał przeważną część nowych dzieł pedagogicznych, a dokładne studja historji, były podstawą do wydawania sądu jasnego i otwartych poglądów. To też w takich rozmowach znajdowali obaj przyjemność.

Żywe zajęcie się sprawą wychowania naprowadzało na liczne domysły i wnioski; Michał celował w nich bystrością. Raz gdy zastanawiali się nad tem, w czem właściwie leżą błędy naszego społeczeństwa, gdzie szukać ich źródła i jakich użyć środków zaradczych, Michał zamyślił się głęboko. Po długiej przerwie odezwał się:

— Potrąciwszy o tę sprawę, długo myślałem nad nią, szukałem w mem, nie długiem jeszcze życiu przykładów i zdaje mi się znalazłem je. Po takim namyśle przychodzę do przekonania, że jedyną wadą jest wychowanie chybione, lub zaniedbane. Zdarzają się wyjątki samouków i samowychowańców, ale to wyjątki rzadkie. Ogół potrzebuje dobrej szkoły. Stanowczo twierdzę, że jedyną drogą do zaradzenia wszystkiemu złemu, na jakie się zwykle użalamy, jest: gorliwe zajęcie się szkołą i wychowaniem dziatwy. Dla nas na świecie nie wiele już pozostaje, żyjącego pokolenia nie można już poprawić, nie można w nim wykorzenić wad zastarzałych. Darmo krzyczą na wady społeczne i każą o ich naprawie — nam pozostaje praca dla przyszłego pokolenia. Zwróćmy się do ludu i dziatwy. Że to, a nie inne jest zło, widziałem niedawno. Znacie historję moją i Stanisławy, wiecie dlaczego ona taką była, a nie inną, dla czego stała się przyczyną złego, które mogło mię o życie przeprawić? Opowiedziała mi raz dawniej, dzieje lat dziecięcych — z tego dziś widzę, że jedynie brak starannego wychowania, któreby było wykorzeniło zaród lekkomyślności, a zaszczepiło zasady prawości i utworzyło silny charakter, był tego wszystkiego przyczyną. Z braku wychowania stała się lekkomyślną, ale nie tylko ona sama. Takimi są przeważnie jej koledzy. Dziwiłem się nieraz, dlaczego społeczeństwo dziś jesze żyje w jakiemś uprzedzeniu do aktorów, dlaczego usuwa się od nich. Powodem, ta ich lekkomyślność, bodaj czy nie we wszystkiem, choć nie u wszystkich. Społeczeństwo wini ich o to, a samo sobie powinno winę przypisać. Odepchnąwszy ich prawie od siebie, patrząc na ich pracę często, jak na płatny tylko spektakl, a nie na sztukę, zapomina, że samo jest przyczyną, że do teatru garną się przeważnie rozbitki. Dajmy społeczeństwu wychowanie, aby inaczej ceniło wykonawców sztuki, dajmy tymże wychowanie, aby inaczej cenili życie, a złe będzie usunięte.

Profesor słuchał uważnie.

— Masz słuszność — odpowiedział po chwili — dopatrzyłeś się prawdy w życiu, której dotąd albo nie czują, albo nie wyznają, lub co jeszcze gorsza: wyznają głośno i szumnie, a nie robią dla niej nic. To coś powiedział, mogłoby jako napis przewodni służyć cichej pracy nauczyciela. Ty, któryś dzieckiem jeszcze będąc, zajmował się już szkołą, później pracowałeś na tem polu nie mało, ostatniem doświadczeniem wreszcie nauczony, pojąłeś i jasno wypowiedziałeś tę prawdę.

Myśli te poważne, rzucone przez jednego i drugiego, zajęły obu bardzo. Myśleli, milcząc.

Wszedł listowy przynosząc pocztę.

Michał pochwycił list pana Józefa. Czytał go z prawdziwem zajęciem; oddawna już nie pisał nic swemu opiekunowi, o słabości nie wzmiankował wcale, bo nie chciał go martwić, a obawiał się prawie, by kochający go pan Józef, na wiadomość o słabości nie przybył natychmiast do Lwowa.

Czytał list obszerny długo, a po skończeniu, jeszcze dłużej się zamyślił. Po długiej, długiej chwili, zbliżył się do profesora z twarzą rozjaśnioną, dając mu list do przeczytania.

**

— Prosi cię o wyszukanie, jakiego zdolnego, młodego nauczyciela do waszej wioski — odezwał się po przeczytaniu.

— Tak, jest.

— Czy znasz kogo godnego?

— Znam; zdaje mi się, że będzie godnym.

— Któż to taki?

— Ja!...

Zdziwienie i prawie niewiara malowały się na twarzy profesora.

— Tak profesorze — ciągnął dalej Michał, biorąc go za rękę — postanowiłem i spodziewam się nie zganicie mi tego. Chcę postąpić nie tak, jak się zwykle dzieje. Dotąd mieliśmy w warstwach oświeconych tylko emigrantów z ludu. Oni przychodzili, zdobywali wiedzę i używali jej, jako środka do egzystencji. To było z krzywdą ludu. Jestem dzieckiem ludu, nauczyłem się czegoś na świecie, dziś, kiedy mam siły do pracy, obowiązany jestem powrócić tam, zkąd wyszedłem, niosąc zdobyte światło mojej braci, ludowi. Wolny jestem zupełnie — dodał po chwili z odcieniem smutku. — Stanisława będzie wkrótce żoną innego, pojadę do mej wioski rodzinnej, odetchnę świeżem powietrzem wiosennem i żyjąc tam sobodnie, wśród pracy szlachetnej, będę szczęśliwym...

Ostatnie słowo odbiło się dziwnem echem i powróciło do ucha Michała, który na chwilę zasmucił się znowu.

* * *

Był wieczór cichy, majowy. Bujna zieleń drzew, zlewała się w ciemne masy. Chaty wiejskie drzemały już spokojnie, wszystkie zagrody zalegała urocza cisza. Blask księżyca osrebrzał strzechy, lśnił gdzie niegdzie odbity od szyb małego okienka. Lekki wietrzyk musnął czasem liściem drzew, unosząc miłą wiośnianą woń, musnął tu i owdzie gładkie liczko kwiatka i pospieszył pod gaik igrać z drzącą falą strumyka.

W wiosce rodzinnej Michała, nie wiele się zmieniło. Chaty zapadły się i pochyliły trochę, gdzie niegdzie przybyła lśniąca nowością słomy łata na strzesze, kilka płotów znękanych starością, leżało poszarpano na ziemi, indziej znowu świeży płot sterczał hardymi koły. Tylko szkółki dawnej, małej, nie było. Na jej miejscu stał budynek nowy i wielki. Otaczał go, jak dawną szkołę ogródek, zasiany starannie kwieciem, umajony zielenią. Woń przyjemna rozchodziła się w powietrzu.

W ogródku przed szkołą stał Michał oparty i dumał. Myśl ubiegła zdaje się w dawne lata i była mu miłą. Stał długo; po długich latach wędrówki, powróciwszy do rodzinnej wioski, czuł jakąś błogość.

Nic nie przerywało ciszy.

U studni sąsiedniej zagrody zaskrzypiał żuraw, młode dziewczę czerpało wodę.

Michał spojrzał w tę stronę, wśród jasnego wieczoru, dokładnie widział piękną twarz dziewczyny. Jakaś myśl błędna jakby odległe wspomnienie snuła mu się po głowie. Zdawał się patrzeć na coś, co dawno, dawno znał dobrze.

Z zamyślenia obudziło go wołanie z sąsiedniej chaty:

— Maryniu!

Michał, jakby odszukawszy początek nici wspomnień, powtórzył cicho:

— Marynia!...

We Lwowie, 5. października 1880.

TEATR.

Sąsiedzi, komedja w 4 aktach Michala Bałuckiego, wystawiona po raz pierwszy na naszej scenie w piątek 5 b. m.

Pan Bałucki uznaje za stosowne od czasu do czasu uszczęśliwiać nas, co raz to nowem niby dziełem dramatycznem, obracając się jednak w tem samem kółku, zapadając tylko głębiej, zniżając poziom swych zapatrywań co raz bardziej. Że dyrekcje, niby komedje p. Bałuckiego przyjmują i wystawiają, pochodzi niezawodnie ztąd, że autor ma pewną, nie tyle wziętość u publiczności, ile wyrobioną firmę literacką, a i to coś dziś znaczy. Tej więc firmie, którą wyrobił sobie swemi powieściami, zawdzięcza wystawienie na lwowskiej scenie *Sąsiadów*. Czem są *Sąsiedzi* trudnoby dokładnie oznaczyć, bo że nie są komedją, to więcej jak pewna. Gdyby więc koniecznie trzeba scharakteryzować ten płód, powiedzielibyśmy, że to zlepek szmat i łachmanów starych zakupionych gdzieś u tandeciarzy na Kaźmierzu, w które autor poodziewal wyrzutków społeczeństwa, każe im udawać szlachtę polską, a sam sufleruje ze słownika najbrudniejszych wyrazów. Z trudnością tylko określamy to *dzieło*, bo nie mamy w zwyczaju używania wyrazów tu nadających się i stanowczych, a używanych jedynie przez p. Bałuckiego. Jednem słowem, jest to coś nakształt potworów scenicznych Zoli; nie radzilibyśmy jednak autorowi iść tym torem, bo za obrazy tego rodzaju na ulicy dostaje się guza, na scenie można usłyszeć gwizd i sykanie, a kto poczciwej myśli, odwraca się i wychodzi z teatru, jak to u nas uczyniono. Nie wiemy, gdzie to autor poznał naraz społeczeństwo z tak złej strony, jak go maluje i pytamy, gdzie autor spędził owe lata, że ludzi uczciwych nie widział i odtworzyć ich piórem nie umie. Nie wiemy kto to autora nauczył i zachęcił obrzucać społeczeństwo, wśród którego i z którego żyje, błotem i plwać mu w oczy; takich odważnych śmiałków znamy nie wiele i najnowsi, a daj Boże i ostatni to: *Karol Emil Francoz* i *Sacher Masoch*. Jakim się ich rzemiosło opłaca, powinien p. *Bałucki* wiedzieć.

Jeżeli więc takie traktowanie samego przedmiotu wywołuje w każdym oburzenie, to nie mniej lichota budowy scenicznej nie zasługuje na najmniejsze pobłażanie. Komedja to niby w 4 aktach, a w każdym akcie jedzą tylko i piją, upijają się, grają w karty, i na wyścigi jadą na podłościach. Każda z osób, które p. Bałucki na scenę wprowadza, ma położone za zadanie, okazać się jak najnikczemniejszą, a przytem, jeść i pić za czterech. I to właściwa treść, a oryginalność pana Bałuckiego; bo wybory, to rzecz już stara w komedjach i obrazkach, niezręcznie przywłaszczona przez autora, inne rzeczy zachwycone, to z „Naszych najserdeczniejszych“, to z innych dzieł drobnych, a zachwycone niedołężnie, niezręcznie. „Radcy pana Radcy“ odbiły się tu znowu w większej części; a zresztą plagiatów nie spisałby na wołowej skórze. Dwie stare sceny pozostawione zewnątrz akcji są szablonowe, ale to z komedyj, które grano przed laty stupięćdziesięciu, a panu Bałuckiemu zdawało się, że jest dowcipnym i cieszy się swemi staremi farsami i swą znakomitą żoną pana Tęgasińskiego, która jest taką, że żadna straganiarka nie prześcignęłaby jej w ordynarności i brudocie moralnej. Ciotka Stasia, Protasiewicz i Wilski nie należą do akcji, nie można więc ich liczyć do stron dodatnich komedji — pozostaje więc tylko Radoszewski, jedyny człowiek *poczciwy*, ale kolosalnie głupi — oto wszystko, co pan Bałucki znalazł w życiu do odwzorowania naszego społeczeństwa.

Ale dość tego. Pan Bałucki od lat wielu pracuje w podobny sposób, sądząc widocznie, że jego satyra ma spełnić zadanie ważne w poprawie społeczeństwa — statystycznie moglibyśmy autorowi dowieść, że z jego satyr, ani jeden się dotąd nie poprawił i pewno nie poprawi, a niezawodnie, gdyby pan Bałucki zaniechał swej misji reformatorskiej, społeczeństwo skorzystałoby nie mało. Tyle autorowi.

O grze artystów nie piszemy tym razem nic, mają oni zbyt jeszcze wiele polskości i zacności, aby mogli autorowi godnie służyć do wypowiedzenia całego steku brudów i nieczystości.

Zorjan.

Operetka. *Książątko*, operetka w 3 aktach Lecoq'a przedstawiona po raz pierwszy na lwowskiej scenie, w połowie października, zawiodła poniekąd oczekiwania i ze wszystkich operetek tego kompozytora, jest to bezwątpienia, najsłabszy utwór, a trzeci akt, jest po prostu niedołężny.

Kilka miejsc, mianowicie początkowe sceny i finał aktu pierwszego, oraz z aktu drugiego lekcja śpiewu przypominają sympatyczną, do pewnego stopnia oryginalną, a bardzo często wypieszczoną muzykę kompozytora, tyle lubianego na wszystkich scenach europejskich — ale też na tych kilku miejscach w *Książątku* kończą się zalety, a reszta wlecze się, nuży i mniej zamiłowanych w muzyce, zdolna jest uśpić... Libretto, jak zwykle, bez najmniejszego sensu, a co gorsza, bez tej odrobiny fantazji i poezji jak np. w „Dzwonach z Corneville“, dwóch warunków, o których autorowie librett operetkowych przedewszystkiem pamiętać powinni, jeżeli głównym celem ich niema być satyra i parodja, jak np. w „Pięknej Helenie“.

Wystawienie na naszej scenie *Książątka* tak pod względem wystawy, jak pod względem śpiewu i gry naszych artystów, nie pozostawiało nic do życzenia. Układ był wyborny, co jest zasługą reżysera p. Zboińskiego, chóry i zbiorowe partje szły doskonale, za co znowu uznanie należy się kapelmistrzowi p. Jareckiemu. „Książątkiem“ była panna Bocskay, która też odśpiewała i odegrała swoją rolę ku powszechnemu zadowoleniu, zebrawszy niepomierną masę oklasków, których część przypadła także za jazdę na koniu, tembardziej budzącą podziw w obydwóch płciach, licznie zebranej

publiczności, że panna Bocskay reprezentowała na koniu pułkownika, z odpowiedniem użyciem siodła. Jakkolwiek panna Bocskay okazuje niezaprzeczony talent do ról męskich — konna jednak jazda, z odrzuceniem właściwości siedzenia używanej przez płeć nadobną — musiała się okazać niepraktyczną, czy coś podobnego, bo już na drugiem przedstawieniu *Książątka* odbywało się wszystko... piechotą... Co prawda, to konie w ogóle były tak potrzebne, jak huculi na scenie podczas galowego przedstawienia, zwłaszcza, że fizjonomja tych szlachetnych zwierząt przypominała nieco lwowskie okrzyki: „piasku trza!"...

Postać komicznego profesora, czy nauczyciela odegrał pan Skalski wybornie, a duet z panną Bocskay, odśpiewał tak oryginalnie i z takiem powodzeniem, że mu pozazdrościć może nie lada specjalista w tego rodzaju rolach. Pani Skalska miała bezbarwną i niczem nieodznaczającą się rolę i partję, choć grała żonę książątka — aż nam żal było tego... Radzimy pani Skalskiej, aby na przyszłych przedstawieniach *Książątka*, śpiewała „Murzynka" popisowe solo, które kiedyś w Warszawie z niezmiernem powodzeniem śpiewała pani Kwiecińska w „Cyruliku Sewilskim". Tekst z przekładem Szobera, tego „Murzynka", o ile wiemy znajduje się we Lwowie. Panna Malewska w roli przełożonej pensji, okazała się nietylko dobrą śpiewaczką, o czem dawno wiedzieliśmy, ale i o wydatnych zdolnościach charakterystyczną artystką. Recenzent „Gazety Narodowej" robi zarzut pannie Malewskiej, że była za młodo ucharakteryzowana; podług zdania pana *B. Cz.* przełożona pensji, nie może być ładna i młoda — dlaczego? Zapewne z tej samej przyczyny, co literat, lub poeta, musi być podług pewnego szablonu artystycznego, w poplamionem ubraniu, w wykoszlawionych butach, w pomiętej koszuli i brudnych kołnierzykach — wprawdzie są i tacy *rycerze pióra* — znamy ich nawet, ale... radzimy pannie Malewskiej, aby się nie charakteryzowała na starszą — owszem powinna być ładną i młodą, bo przecież w brzydkiej i starej nie kochałby się oficer, tak jak właśnie jest w *Książątku*, o czem pan *B. Cz.* zapewne zapomniał.

Wspomnieć jeszcze należy, że tańce w pierwszym akcie były układu p. Kosińskiego i, że oprócz p. Zboińskiego, grającego niewielką, drobną rolę, zgoła niczem nie odznaczającą się — inne partje i role były najzupełniej małoznaczące. *M. D. Ch.*

Koncert panny Majewskiej, poprzedzony zasłużoną sławą, jaką młoda ta artystka zjednała sobie za granicą, ściągnął dnia 23. paźd. grono miłośników muzyki. Po tem wszystkiem co Liszt powiedział o pannie Majewskiej, nazywając ją „cudownem dzieckiem" nie można nic pochlebniejszego dodać, jak tylko z całą serdecznością aprobować tak zaszczytne zdanie Liszta. Słuchając gry panny Majewskiej trzeba podziwiać jej łatwość pokonywania wszystkich trudności, ową tak doskonałą technikę i tę sztukę przejęcia się utworem, jaką właśnie panna Majewska imponuje. Są artyści, którzy oprócz techniki, nic więcej nie posiadają, a w muzyce wymaga się nie tylko technicznego wykonania, ale także i owej poezji, która tak łatwo porywa. Panna Majewska jest właśnie obdarzona tym darem, i dla tego to czyni wrażenia niezatarte, bo słuchacz obok podziwu, uczuwa zadowolenie wewnętrzne i daje się z łatwością porywać. *Bolesławicz.*

Ubodzy nasi nie mają szczęścia! Najlepszem tego dowodem, był koncert pana S. Skibińskiego, dany 5 listopada na dochód sierót zakładu św. Kazimierza. Publiczność lwowska, która zapełnia salę, jeżeli dochód przeznaczony jest na jakąś włoszkę, lub niemkę, ma sobie za święty obowiązek ignorować takie koncerty, które mają na celu wsparcie nieszczęśliwych. Nic też dziwnego, że koncert p. Skibińskiego mimo urozmaiconego programu — jaśniał okropnemi pustkami! Królową tego koncertu była panna Sk. Uwerturę Schumana „Scherzo i finale", odegrała z wielką wprawą i biegłością, jak również z trudnego „Trio Es dur" Brahmsa, wyszła zwycięzko. Trio to wykonane było przez pannę Sk., pp. Sch. (skrzypce) i Wollman (wiolonczelą) tak artystycznie, że wywołało serdeczne oklaski.

Na ogólne żądanie, pan Myszuga, który z uczniem odśpiewał śliczną pieśń Shorcha: „Allein" śpiewał po raz drugi ku ogólnemu zadowoleniu. Na zakończenie odegrały panny P. i Sk. Volkmanna „Warjacje na temat Haendla". Na szczególniejszą wzmiankę zasługuje tu panna P., młoda artystka, która złożyła dowód istotnego talentu!

Dnia 6 listopada, danym był koncert p. Stanisława Kochanowskiego ze współudziałem p. Karola Mikulego i panny Józefiny Gottleb. Sonata Beethowena odegrana przez pannę Gottleb i koncertanta, wyszła blado i skromnie— p. Kochanowski nie przejął się tym rzewnym utworem i zdawał się nie wiele przykładać do niego — gdyby nie wyśmienity akompaniament panny Gottleb, sonata ta nie uczyniłaby żadnego wrażenia. Ale za to koncertant, jakby pragnął zatrzeć pierwsze wrażenie, rozwinął cały swój talent w koncercie (fis-moll) Vieuxtemps— i z młodzieńczem zapałem, pokonywał wszystkie trudności, jakiemi ten utwór jest przepełniony. W grze p. Kochanowskiego tyle było zapału, ognia i życia, że gorące oklaski rozległy się w sali. Nie wielka to sztuka przepowiedzieć dziś panu Kochanowskiemu wielkie powodzenie w świecie muzycznym — bo kto tak, jak on zaczyna świetnie artystyczną swą karjerę, dojść musi do prawdziwego uznania! W miejsce zapowiedzianych kwartetów przez pp. członków tow. muzycznego, odśpiewano trzy króciuchne duety, a wszystkie trzy z tekstem niemieckim. Dlaczego?... *Bolesławicz.*

Potoczne wiadomości teatralne. — Piszą nam z Berlina:

Berlińskie teatra rozpoczęły już kampanię zimową. Pominąwszy sceny rządowe, zwracamy uwagę na dwa lepsze teatra prywatne: Wallnertheater i Residenztheater. Odznaczają się one większą od reszty ruchliwością i doborem sztuk. Ale o sztuki trudno w Niemczech. Zawyrokował przecież Ludwik Ulbach na kongresie literackim w Lizbonie, że sztukom niemieckim niewarto dawać prawa europejskiego obywatelstwa. Nowością Wallnertheatru jest komedja Marji von Ernest: „Mit dem Strome". Autorka wydała temu dwa lata tomik poezyj, które zadziwiły siłą i poprawnością. Pani von Ernest napisała także dwie jednoaktówki: „Magdalena" i „Briefmarken". Obecna komedja jest pierwszą większą jej pracą. Ale praca ta nie udała się. Liryczne jej poezje kipią gwałtowną, silną namiętnością, zadziwiają potęgą, której w komedji, ani śladu. Osnowa uboga, robota niezręczna, przedmiot zwyczajny, nie zapewniają komedji tej powodzenia. Kobietom nie udają się w ogóle dramata. Nie mają dość siły. Powinny dać pokój.

Z Warszawy:

W teatrach warszawskich utworzone zostały posady dyrektorów artystycznych.

Dyrektorem dramatu mianowany został pan Tatarkiewicz, dyrektorem opery p. Trombini, dyrektorem baletu p. Mendoz.

Reżyserami dramatu zostali pp. Władysław Szymanowski i Stromfeld.

P. Foland, dotychczasowy dyrektor administracyjny, mianowany został jeszcze wiceprezesem dyrekcji teatrów.

Prócz tego utworzony został komitet celem czuwania nad sprawami dramatu i komedji.

Komitet ten składa się przeważnie z członków dawnej komisji teatralnej i z kilku artystów. Na członków honorowych komitetu zaproszeni zostali, jak słyszeliśmy, Aleksander hr. Fredro i p. St. Koźmian.

Posiedzenia komitetu odbywać się będą raz na miesiąc, a w okolicznościach wyjątkowych i częściej.

Co się tyczy projektu budowy teatru trzeciego, sprawa ta ma być także wkrótce już załatwioną.

Nowy gmach teatralny, według projektu, wzniesiony będzie na placu Saskim, a na scenie jego przedstawiane być mają opery i balety.

W dzisiejszym teatrze wielkim grywane będą dramaty i komedje, scena zaś teatru Rozmaitości przeznaczoną zostanie dla komedyjek pomniejszych i wodewilów.

Wreszcie istnieje także projekt dawania przedstawień w teatrzyku p. Granzowa.

Tu w sezonie zimowym wystawiane będą komedyjki i wodewile, nie wymagające obszernej sceny.

Kronika zagraniczna.

Kronika podróży. Projekt nowej austryackiej wyprawy do Afryki, wchodzi w stadjum urzeczywistnienia. Towarzystwo jeograficzne w Wiedniu, na nadzwyczajnem zebraniu, umyślnie dla tego projektu w tych dniach odbytem, uchwaliło wziąść kierownictwo w tej sprawie w swoje ręce i całą uwagę poświęcić urzeczywistnieniu dzieła. Znany podróżnik dr. Holub, przedłożył już Towarzystwu szczegółowy plan nowej podróży do Afryki, którą w najbliższym czasie podjąć zamierza. Plan ten będzie przedmiotem osobnych studjów i być może, przyjęty zostanie dla zamierzonej wyprawy austrjackiej do Afryki. Na razie Towarzystwo jeograficzne rozglądać się będzie za funduszami na

ten cel i przedewszystkiem zarządzi ogólną subskrypcję.

Fotofon. Cudowne odkrycie górujące nad wszystkiem, co dotąd wynaleziono na drodze naukowej, przychodzi nam znowu ze Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki. Profesor Bell, wynalazca telefonu, wykazał według dzienników amerykańskich i stwierdził szczegółowemi doświadczeniami, z których sprawozdanie odczytane zostało w towarzystwie zachęty nauk, że bez żadnych druków komunikacyjnych, jakich potrzeba w telegrafach i telefonach, głos może być przesyłany z jednego punktu na drugi za pomocą samego tylko promienia światła. Podstawą „aparatu przyjmującego,“ 'to jest na stacji, do której głos ma być wysłany, stanowi znane chemikom, dotąd niemające prawie żadnego zastósowania w sztukach i przemyśle, ciało proste, czyli pierwiastek chemiczny nazwany: selen. Kierując kształt, czyli charakter wibracyj głosowo-świetlanych na to ciało, można kontrolować ilość i jakość głosu i otrzymywać wszystkie odcienia rozmaitości mowy ludzkiej. Profesor Bell przemawiał w ten sposób z pomocą promieni słonecznych na odległość 200 metrów. Dostatecznem jest, żeby osoby chcące rozmawiać w braku drutu komunikacyjnego, mogły się wzajemnie widzieć. Jest to dopiero początek wynalazku, który może zapowiada nowy przewrót w komunikacji myśli między oddalonemi od siebie osobami.

W Anglji na Sout Eastern Raiway robiono niedawno próby z lokomotywą wprawianą w ruch siłą zgęszczonego powietrza wynalazku pułkownika Beaumont, inżyniera.

Od pewnego czasu lokomotywa ta funkcjonowała bardzo dobrze na liniach zewnętrznych arsenału w Woolwich. Teraz urządzono doświadczenie na szerszym obszarze, a mianowicie, odbyto wycieczkę do Darford. W ogóle lokomotywa zrobiła 18 mil angielskich.

Próba powiodła sie, a pułkownik Beaumont tłómaczył szczegółowo obecnym ustrój machiny. Toczy się ona na czterech kołach, wymiary zaś jej są mniejsze, niż omnibusu zwyczajnego.

Wkrótce jednak ma być pobudowana inna, daleko większa, która siłą będzie przewyższała wszelkie lokomotywy, jakie istniały dotychczas.

Dozorca haremów sułtańskich, który zalicza się do najwyższych dygnitarzy państwa Osmanów, Nurredyn Aga, zakończył w tych dniach życie w Stambule w 79 roku życia, pozostawiając ogromny majątek. Nurredyn Aga przez 60 lat pozostawał w służbie u dworu sułtańskiego. Posiadał najwyższe ordery i odznaki tureckie, a co ważniejsza, był w wielkich łaskach u sułtana, który oddał swój jacht prywatny na przewiezienie zwłok swojego sługi na cmentarz przy moszei „przypasanie miecza“. Następcą Nurredyna w godności „Kisslar Agassiego“ został dotychczasowy podskarbi dworski, Hafiz Behran Aga, który przy tej sposobności otrzymał wysoki order. Ministrowie i wszyscy wyżsi dostojnicy duchowni i cywilni złożyli nowemu dygnitarzowi gratulacje. Kisslar Aghassi równie, jak wielki wezyr i szeik ul-Islam ma tytuł „Jego Wysokość“.

Trychiny.

Zauważono, że wieprzowina sprowadzana z Ameryki do Europy, obfituje w trychiny.

Otóż Włochy, Portugalja, Hiszpanja, Austrja i Prusy, zabroniły sprowadzać mięso wieprzowe z drugiej części świata, na użytek miejscowych mieszkańców.

Tymczasem Francja zakazu tego nie wydała.

Cóż się okazało.

Oto obecnie ze wszystkich stron kraju tego donoszą, iż trychiny pokazały się w wielkiej ilości i, że przyniosło je mięso przywiezione na amerykańskich okrętach.

Z Wiednia.

(I—z.) Deszcz ze śniegiem wypadawszy się należycie, ustał wreszcie, a zima w całej okazałości zbliżać się poczyna. To też bez ciepłego okrycia nikogo na ulicy nie widać, z wyjątkiem tych, którzy żadnego nie mają. A jest spora liczba tego biedactwa, to też zbrodnie i żebractwo wzmaga się w przerażający sposób. Policja nie próżnuje, lecz energicznie zabiera się do oczyszczania miasta z niebezpiecznych indywiduów. Bo też w ostatnich czasach zbrodnia następowała po zbrodni. Zaledwie schwytano mordercę mechanika Ambrosa, Józefa Langa, skazanego na śmierć, nowa zbrodnia i to już druga podobna w naddunajskiej stolicy, wzburzyła umysły mieszkańców. Mówię o struciu listowego, Hüttmanna przez naśladowcę Francesconiego, Burckarta. Wlamywania się do mieszkań i składów, są na porządku dziennym, a zuchwalość rzezimieszków doszła do tego stopnia, iż pod okiem policji i w samem śródmieściu w biały dzień wlamują się do pustych mieszkań, plądrując co się tylko nadarzy. — Wspomniałem pobieżnie tylko o zbrodniach wiedeńskich, cechujących stolicę austrjacką; pod tym względem nie ustępuje ona w niczem, żadnemu wielkiemu miastu, jeśli ich nie przewyższa.

Panuje tu ogólne niezadowolenie w świecie przemysłowym, w skutek wystawy przemysłowej w Rotundzie. Udział w niej brały wszystkie firmy niższo-austrjackie. Teraz właśnie nastąpiło rozdawanie medali zasługi. Czy prawdziwie medale te nie według zasługi wystawców zostały rozdzielone, czy też może z innej przyczyny, dość że wielkie niezadowolenie panuje ze sędziów przyznających nagrody, uznając ich jako niekompetentnych. Wielu też wystawców nagrodę im przyznaną, odrzuciło, uznając ją za małą; drudzy zaś zapełniają wszystkie dzienniki w rubryce *„nadesłane“* żalami na niesprawiedliwość sędziów komitetowych.

Ojcowie miasta pod przewodnictwem burmistrza p. Newalda naradzają się właśnie, nad sposobem, w jakiby mogli najlepiej uczcić wesele Następcy Tronu. Cały program nie jest jeszcze ułożony, podam go w późniejszej korespondencji.

Pod protektoratem arcyksięcia Rudolfa zawiązało się tu nowe towarzystwo pod nazwą *„Dom-bau-Verein“*, które ma na celu dalsze odrestaurowanie katedry św. Szczepana. Przewodniczącym tego towarzystwa jest ks. kardynał Kutschker; w skład komitetu wchodzi także sławny budowniczy Schmied, kierujący wspaniałą, lecz nieco za kosztowną budową tutejszego nowego ratusza. — Ratusz ten, kosztuje o ile mi wiadomo, już teraz około 12 milionów, a urządzenie wewnętrzne wyniesie, także jeszcze wcale pokaźną sumę. — To też sarkanie na te olbrzymie wydatki ogólne, czemu się znowu dziwić nie należy. W przyszłym liście doniosę Wam coś więcej o nowych budowach wiedeńskich. Teraz wspomnę jeszcze cośkolwiek o tutejszych teatrach. W operze nadwornej, dyrektorowie zmieniają się jeden po drugim. Od czasu gdy Jauner złożył swój urząd, było ich trzech, a teraz przychodzi czwarty. W kilku miesiącach czterech dyrektorów, to trochę za wiele. Lecz jest nadzieja, iż nowo mianowany p. Jahn zostanie dłużej na swem stanowisku, jak jego poprzednik br. Dingelsted, który zaledwie kilka tygodni urząd ten piastował. Nowy dyrektor, były kapelmistrz nadworny w Wiesbaden, przybędzie tu 15. listopada b. r. Dzienniki tutejsze dają mu całą wiązankę rad najrozmaitszych, których niewiedzieć czy p. dyrektor (mówiąc nawiasem pobierający 9000 zł. i wolne mieszkanie w operze) trzymać się zechce? — Primadonna tutejszej opery panna Bianca-Bianchi, uwielbiana przez wiedeńską publiczność, doznała również niezwykłej łaski cesarskiej. Mianowaną bowiem została *„nadworną śpiewaczką“*. Jestto tytuł, którym nie wielu może się poszczycić; o ile sobie przypominam posiadają go coś 5ciu czy 6ciu śpiewaków i około 8 śpiewaczek, a między niemi Adelina Patti pp. M. Wilt, Chr. Nilson, Friedrich Materna i Paulina Lucca, zbierająca obecnie tutaj laury, występuje bowiem, jako gość. Panna Bianchi udaje się na występy gościnne do Petersburga i ma wstąpić do Warszawy. Wiadomość tę jednak podaję z zastrzeżeniem, gdyż nie jest pewną. Był tu ex-kedyf egipski Ismail Pasza, i pragnął koniecznie słyszeć na scenie tutejszej Aidę. Zapowiedziano więc przedstawienie tej opery, lecz w ostatniej chwili pna Friedrich Materna, śpiewająca tytułową rolę zasłabła, zapowiedziano, więc „Proroka“ lecz znowu pna Siegstädt mająca wystąpić jako „Fides“ także zachorowała. Dano więc „Fausta“ a Ismail Pasza w złym humorze opuścił Wiedeń nie widziawszy „Aidy“. Jak wiadomo, on pierwszy wprowadził na scenę tę operę, podczas otwarcia suezkiego kanału.

Krytyka, Nowiny literackie i artystyczne.

„O afektach, ich stosunku do uczuć i namiętności, oraz ich wpływie na organizm człowieka“ — napisał Dr. Antoni Kosiba. — Jasło 1880. — W rozwoju literatury, dział psychologji bardzo słabo się u nas rozwija. Rozprawy na tem polu są rzadkie, najczęściej drobne, a jeszcze może częściej słabo tylko z obcego naśladowane. To też z prawdziwą przyjemnością powitaliśmy pracę Dr. Kosiby, bo choć w szczupłe ujęta ramy i nienajzupełniej oryginalna, jest przecież przyczynkiem do bardzo ciekawych studjów, którym zagraniczni badacze

osobliwie niemieccy, niezmiernie wiele pracy poświęcali. Gdyby przyszło wykazać zalety pracy, to przedewszystkiem nie należy zapomnieć, że język gładki, zrozumiały, wolny od zwykłej w takich dziełach, napuszystości i sztuczności wyrażania się, zkąd najczęściej wynik taki, iż na sto czytających, 90 nie zrozumie o co rzecz. W drugiej osobliwie części znać rezultat badań autora, a zatem przebija się więcej swobody w traktowaniu przedmiotu; rzecz więc zaczyna być bardziej zajmującą, a w opowiadaniu płyną, jędrne i jasne myśli podnoszące wartość pracy.

Z tem wszystkiem dziełko Dr. Kosiby nie jest wolne od usterek i to znacznych. Najpierw popadł autor w błąd, który niejednemu pedagogowi się przytrafia; jest nim cytowanie, aż do zbytku wyjątków z dzieł greckich i łacińskich i to zawsze w oryginale. Zapomniał widocznie autor, że dzieło jego nie może być przeznaczonem wyłącznie, dla znających języki klasyczne; dla innych staje się pierwsza część rozprawy niezrozumiałą. Ztąd też część ta jest niezmiernie ciężka, bo autor rozpiera ramy dzieła stoikami, Zenonem, Chryzypem, Plutarchem, Diogenesem, Seneką i Cicerom, a nie podaje nam, ani wiersza Homera, lub Sofoklesa, w wybornych polskich przekładach. A przecież poeci ci genialni, przelali w swe dzieła znakomite obrazy afektów, i raczej w nich, aniżeli u suchych myślicieli — filozofów powinno się szukać podstawy do traktatu, jak to autor zrobił w częściach dalszych, powołując się na Szekspira, Goethego, Schillera, a niejednokrotnie na naszych poetów jak: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego.

Podczas kiedy w niektórych ustępach, jak już wspomnieliśmy, widocznem jest sumienne badanie rzeczy, o której mowa, w innych widzimy pewną pobieżność, nie zbadanie głębsze. I tak, mówiąc o objawie radości, nazywa łzy z uśmiechem zmięszane, objawem nienaturalnym (str. 35) nie zastanawiając się dalej nad prawdziwymi powodami takiego objawu. Bo to co autor mówi o krzyżowaniu się u ludzi wykształconych całej sieci różnorodnych wyobrażeń i potrąceniu podczas radości, smutnej strony wyobrażeń, jest tylko frazesem, bo ani tej siatki, ani strun na pewnej podstawie przyjąć nie możemy. Sądzilibyśmy raczej, że łzy te są wynikiem smutnego stanu duszy, *przed* powstaniem afektu radości, ztąd też niespodzianka, o której autor mówi poprzednio. Gdy dusza jest zupełnie swobodna, wesoła, wówczas afekt radości, albo wcale jest niemożebnym, albo będzie bardzo słaby; przeciwnie, gdy dusza smutna i pełna obaw tajonych, wówczas choć nagłe nastąpi szczęście, radość wybucha silnym afektem, ale smutek musi się wypłakać, smutek, którego zapas z duszy musi ustąpić zupełnie, ażeby potem było miejsce dla *uczucia* radości. — Tej wymiany, wypróżnienia dokonuje afekt.

W tymże samym ustępie pisze autor: „*U ludzi dzikich i żyjących na łonie natury z pewnością nikt nie zobaczył czystej radości płaczem i łkaniem się objawiającej*“. Dalej czyni różnicę w objawie afektu u takich ludzi, a u ludzi wykształconych. W dalszym toku rozprawy spotykamy jeszcze często uwagę, że temu, lub owemu afektowi podlegają bardziej ludzie prości, lub dzicy, innemu znow ludzie wykształceni. Pod tym względem zgadzamy się najzupełniej z autorem, dziwi nas tylko, że tenże nie poszedł w konsekwencji dalej i nie wykazał, że afekta dałyby się ułożyć w łańcuch, u którego jednego końca znaleźlibyśmy takie, którym najczęściej i najłatwiej ulegają ludzie wykształceni, na drugim, takie, które pod swe panowanie najczęściej zagarniają ludzi prostych, a nawet i dzikich. Błąd to dość powszechny, spostrzegamy go u wielu — a błąd nie mały, bo pomija najważniejszą może stronę. Z takiego łańcucha, czy to afektow, czy uczuć, najłatwiej, a najprawdziwiej na podstawie pokrewieństwa duchowego i fizjologicznego, można dojść do wielu ciekawych wniosków i odkryć. Łańcuch taki pokazał by nam z jednej strony objawy psychiczne u ludzi, w których wykształcony duch usuwa aż do minimum działanie duszy — z drugiej, widzielibyśmy ludzi, w których czynna dusza prawie zwierzęca. A to właśnie punkt, na którym autor po raz wtóry błądzi, bo często bardzo mało baczy na różnicę ustroju człowieka, a zwierząt i do pewnego stopnia identyfikuje je. Rzecz to bardzo śliska, a nie opracował jej autor zupełnie, przeciwnie nieostrożnem potrąceniem kilkakrotnie na błędne naprowadzał domysły.

Pomimo tych usterek, powtarzamy, cośmy na początku powiedzieli: rzecz cała jest zajmującą i ciekawem zestawieniem badań dotyczących afektów, jak niemniej podaniem w ograniczonej całości tego, co w psychologiach w wielu działach zwykle się rozdrabia. O pożyteczności tej pracy ani wątpimy, jak nie mniej żywimy nadzieję, że autor da nam sposobność pomówienia jeszcze o dziełach innych, do których go tylko zachęcić możemy.

Zorjan.

Czasopismo naukowe „Natur“ wychodzące w Halli n. S., podaje w ostatnim numerze chlubną wzmiankę o pracy dra Br. Radziszewskiego, profesora uniwersytetu lwowskiego, p. t. „Ueber die Phosphorescenz der organischen und organisirten Körper“, jest to osobna odbitka z czasopisma „Annahlen der Chemie“.

Wyszedł z druku nakładem autora „Podręcznik dla uczących się języka francuskiego, o użyciu przedimków; le, la, les, un, une, du, de, la, des i przyimka de“. Ułożył L. Starschedel, nauczyciel języka francuskiego i angielskiego.

Zbiór dzieł J. I. Kraszewskiego w porządku chronologicznym wychodzić będą w języku niemieckim w księgarni nakładowej Hartlebena w Wiedniu. Czcigodny jubilat upoważnił do tłumaczenia utworów swoich p. Juliusza Meisnera.

„Dokumenta odnoszące się do Mikołaja Reja z Nagłowic i jego rodziny“ Pod tym tytułem wyszła odbitka z „Ateneum“ za lipiec r. b., zawierająca cały szereg nieznanych dokumentów do życia Reja, zaczerpniętych z księgi Zapisów Ziemskich Chęcińskich Induktów, przez p. Feliksa Rybarskiego, nauczyciela gimnazjum kieleckiego. Praca ta ma głównie tę wielką zasługę, że prostuje kilka dat z życia Reja.

W handlu księgarskim świeżo ukazała się rozprawa dra Chałupczyńskiego, pod tytułem: „O niektórych błędach w teorji Darwina.“

Donosiliśmy w swoim czasie, iż Towarzystwo lekarskie warszawskie powzięło projekt wydania dzieła dra Oczko o chorobie wenerycznej, Dzieło to miało być ogłoszone drukiem, celem uczczenia 300 rocznicy od czasu wydania go po raz pierwszy.

Obecnie dowiadujemy się, iż projekt rzeczony doszedł już do skutku.

Druk dzieła został rozpoczętym i gotowym jest arkusz pierwszy, tudzież podobizna tytułu i przedmowy z wydania dawnego.

W drukarni Zawadzkiego w Wilnie, w przepysznej edycji, ukazał się pierwszy tom „Historji Egiptu“ przez dra Ig. księcia Żagiella, z 42 tablicami litograficznemi, autor przez 21 lat mieszkał stale w Egipcie, zwiedził Abisynję i część środkowej Afryki, dzieło jego zatem pod wielu względami jest ciekawem. W swoim czasie obszerniej o niem napiszemy. Drugi tom ma się wkrótce ukazać z druku.

W akademji sztuk pięknych w Berliuie, wystawiony jest olbrzymi obraz Makarta „Łowy Diany“. Przedstawia on Dianę ścigającą wśród towarzyszek jelenia, który zrospaczony rzuca się w morze, a tam biorą go w opiekę najady. Artysta chciał snać iść o lepsze w zawody z Domenichinem i Rubensem, którzy ten sam przedmiot przedstawiali. Znalazł on tu obfitą sposobność popisania się zeswoim talentem w traktowaniu nagich postaci niewieścich. Mieszkanki kniei są w tym obrazie dzikie, namiętne, niemal wyuzdane, gdy najady mają wyraz słodyczy i łagodności; tamte silnej budowy ciała, te wiotkie i wątłe. Krytycy berlińscy utrzymują, że obraz ten przewyższa wszystkie dawniejsze prace Makarta i, że Makart złożył w nim także dowód, iż umie malować las i morze, jak najlepszy pejzażysta.

ROZMAITOŚCI.

Gorset bezpieczeństwa. Wzmiankowaliśmy o przyrządzie ratunkowym, wynalezionym niedawno dla podawania pomocy tonącym — a noszącym nazwę: gorsetu bezpieczeństwa.

Otóż, w tych dniach, jak donosi „Dziennik Hawrski“, robiono z przyrządem tym doświadczenia na morzu. Doświadczenia powiodły się najzupełniej.

Wrzucony w morze człowiek, ubrany w ten gorset, utrzymywał się na powierzchni wody — mimo, że wcale nie umiał pływać.

Chyżość iskry elektrycznej. Francuski pułkownik Perrin, członek instytutu, przy ostatnich pomiarach geograficznych w Algierze czynił nowe badania dla sprawdzenia chyżości iskry elektrycznej w przewodach telegraficznych. Do swych doświadczeń użył drutów telegraficznych 400 do 1,200 kilometrów długich między Algierem, Boną, Remours, Biskrą i Kartaginą. Odległości te, jak sprawdził, przebiegała iskra elektryczna w czasie 9 do 35 tysiącznych jednej sekundy, z czego wypływa, że w sekundzie przebiedz może 40,000 kilometrów, czyli prawie cały obwód ziemi.

Wędka elektryczna. Poważny, naukowy dziennik p. t. „La Lumiere electrique“ podaje opis przyrządu, za pomocą którego ilekroć ryba chwyci za haczyk, powstaje prąd elektryczny w znajdującej się przy końcu wędki baterji elektrycznej i wędka wraz z rybą zostaje wyrzuconą na ląd, a oprócz tego odgłos dzwonka tym samym prądem poruszanego zawiadamia rybaka o pochwyconej zdobyczy i potrzebie zarzucenia na nowo wędki. Jesteśmy przekonani, że prawdziwi amatorowie łowienia ryb na wędkę nie przyswoją sobie tego nowego przyrządu, boć cała satysfakcja wędki zależy na niespuszczaniu oka z piórka, czy korka stanowiącego pławik, a najrozkoszniejszą jest chwila, kiedy się ten pławik zanurza na znak, że ryba chwyciła, choćby na to trzeba całemi godzinami wyczekiwać.

Jak długo żyją wielcy ludzie? Ciekawą pod tym względem podaje tabelkę paryzki „Journal des assurances“ w październikowym swym zeszycie. Wedle tej tabelki, żył Tasso 51 lat. Wirgiliusz 52, Schakespeare 52, Molière 53 Dante 56, Owidjusz 57, Horacy 57, Racine 59, Demostedenes 59, Lavater 60, Galvani 61, Boccaccio 62, Fenelon 63, Arystototeles 63, Cuvier 64, Milton 66, Rouseau 66, Erasmus 69, Cervantes 69, Beaumarchais 69, Petrarca 70, Le Sage 70, Linneusz 71, Loche 73, La Fontaine 74, Reaumur 75, Galileusz 78, Bacon 78, Corneille 78, Tucydides 79, Juvenal 80, Kant 80, Plato 81, Buffon 82, Goethe 82, Franklin 84, Herschell 84, Voltaire 85, Sophokles 90, Michał Angello 96, Titian 96, Fontenelle 100.

W. Courbevoie puszczano balon, którym pani Albertyna miała odbyć żeglugę napowietrzną.

Ponieważ jednak w ostatniej chwili coś jej przeszkodziło uskutecznić ten zamiar, przeto młody akrobata p. August Navarre, dawny klown w cyrku Franconi, prosił właściciela balonu pana Gratien, aby mu pozwolił zająć miejsce aeronautki.

Naprózno ostrzegano akrobatę, że wykonywanie ćwiczeń gimnastycznych na trapezie pod balonem wymaga wielkiej wprawy, i że on, który nigdy jeszcze nie odbywał podróży napowietrznej, nie powinienby narażać się na niebezpieczeństwo. Akrobata uważał się postawić na swojem. W końcu p. Gratien ustąpił naleganiom śmiałka pod warunkiem, żeby go przywiązano do trapezu. Ale Navarre na to się nie zgodził.

Ssało się jak sobie życzył. Publiczność wznoszącego się w powietrze akrobatę osypała oklaskami, za które tenże dziękował trzymając się jedną tylko ręką trapezu.

Kiedy balon wzbił się na wysokość stu metrów, Nawarre pochwycił oburącz drąg trapezu i nie ruszał się wcale.

Balon coraz wznosił się wyżej. Nagle zauważono, że akrobata spuścił głowę na ramię nie robiąc żadnego ruchu, ani ręką ani nogą.

Balon pędził wciąż wyżej i wyżej, przelatując nad Sekwaną. Już się znajdował co najmniej na wysokości stóp 500. Zawieszony pod nim człowiek wydawał się tak drobnym jak pięść. Publiczność patrzała z natężoną uwagą.

W tem rozległ się w tłumie krzyk przerażenia. Nieszczęśliwy puścił trapez i zaczął wirować w powietrzu. Można było śledzić go wzrokiem przez cały ciąg tego długiego spadania. O dwieście stóp nad ziemią rozciągnął się poziomo jak gdyby leżał na łóżku.

Za chwilę potem runął w miejscu będącem posiadłością prywatną przy ulicy du Roule. Ciało wyżłobiwszy grunt na 50 centymetrów głębokości, odskoczyło na 4 metry dalej potwornie zmiażdżone.

Sądzą, że Nawarre już nieżywy spadł na ziemię.

Uwolniony od swego ciężaru balon szybko dźwignął się w górę i znikł w obłokach.

O zmierzchu spostrzeżono go znowu w kierunku Menilmontant. Nad placem Ś-go Michała pękł wreszcie i rozpadł się w kawałki, które zebrane, ważyły razem 300 kilogramów.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

P. E. G. we Lwowie. Zbiorek wierszy pańskich przeczytaliśmy; drukować ich nie możemy, a to dla tego, że chociaż pod odmiennymi tytułami, stanowią pewnego rodzaju całość nie równą pod względem wartości, a powtóre, że w ogóle są słabe, chociaż niebrak im pewnego wdzięku i prostoty.

Sz. Straży pożarnej w Sokalu. Zgadzamy się bylebyście panowie dotrzymali.

P. K. w Tarnopolu. Recenzję o tej książce po przeczytaniu umieścimy.

Przewodnik lwowski.

„CONCORDIA“
1sze przedsiębiorstwo pogrzeb. lwowsk.

F. OPUCHLAK

zorganizowane podług wszelkich wymagań, jakich powaga tego rodzaju obrządków wymaga — poleca swoją usługę.

Ma zawsze na składzie wszelkie przybory i zajmuje się zupełnem urządzaniem pogrzebów.

Ceny najprzystępniejsze — podzielone na klasy.

Doskonałość **trumien metalowych** znaną jest powszechnie, gdyż takowe sprowadzone są z najpierwszych renomowanych fabryk. oraz wszelkiego rodzaju trumien drewnianych. — Zamówienia uskutecznia natychmiast.

Jak **„Concordia“** spełnia zlecenia, przekonywają o tem liczne piśmienne podziękowania, które w każdej chwili można przejrzeć. (626-8-4)

Lwów, plac Katedralny l. 3.

Ferdynand Gruhl mechanik c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego, fabrykant narzędzi chirurgicznych i ortopedycznych w Krakowie, ulica Mikołajska nr. 450, utrzymuje skład gotowych narzędzi, jako to: kleszczy położniczych, nożyczek wszelkiego rodzaju, wstrzykawek, irrygatorów, klidapomp. katedr itp. (560-9-9)

Aleksander Pinkalski. Blacharz w Krakowie ulica Grodzka l. 88, w domu Wgo Schwarza otworzył pracownię i skład wszelkich wyrobów blacharskich, jako to: wanien, tuszów, sitzbadów, bidetów, water-closetów, wszelkiego rodzaju maszynek do kawy, również różnych naczyń w zakres tegoż wchodzących. Podejmuje się pokrycia dachów różnemi metalami tak w miejscu jak i na prowincji. (547-9-8)

***Wacław Głowacki** jubiler* w Krakowie, ulica Grodzka, poleca swój od 20 lat założony *Skład towarów złotych, srebrnych* i różnych kosztowności, są do nabycia medale Kraszewskiego i Długosza srebrne i brązowe po cenach najumiarkowańszych. Przyjmuje wszelkie zamówienia, zamiany i reperacje. Skład ten jest zaopatrzony w wyroby z chińskiego srebra, w najlepszym gatunku. (540-12-8)

Biuro nauczycielskie ANIELI DEMBOWSKIEJ w Krakowie przy ulicy Mikołajskiej l. 435, I piętro, poleca szan. rodzicom i opiekunom egzaminowane nauczycielki polki, francuski, niemki i angielki, oraz bony tychże narodowości. (Listy przyjmują się opłacone.) (556-18-10)

Władysław Glixelli, wyroby złote i srebrne w Krakowie przy ul. Grodzkiej nr. 53²⁶/₂₇. Wszelkie zamówienia i zamiany uskutecznia. Złoto, srebro i drogie kamienie zakupuje. (565-9-8)

Walery Rzewuski dom własny przy plantacjach na Wesołej. Zakład otworzony w Krakowie w r. 1860 obecnie urządzony wedle wszelkich wymogów sztuki fotograficznej i dobrego smaku. Wykonuje fotografje z połyskiem, tuzin kartek 6 złr. pół tuzina 3.50. Prac swoich dotychczas na żadne wystawy nie dawał. (557-9-8)

A. Masłowski cukiernik w Krakowie ul. Grodzka nr. 87, poleca ciasta, torty i piramidy, paryskie cukierki i czekolady desserowe. Bonbonierki paryzkie, kompoty, konfitury, lody w najlepszych gatunkach przyjmuje wszelkie zamówienia na wesela i uroczystości familijne. (546-9-7)

J. Gluziński dawniej *Stanisław Armatys* w Krakowie ul. Grodzka, poleca swój magazyn obficie zaopatrzony we wszelkiego rodzaju futra męskie i damskie po umiarkowanej cenie. Zamówienia uskutecznia szybko i sumiennie. (569-9-7)

Roman Pilawski krawiec mezki, otworzył we Lwowie przy placu Marjackim l. 6, skład i pracownię sukien mężkich, zaopatrzony w towary z pierwszorzędnych krajowych i zagranicznych fabryk. Zarazem zawiadamia, że na swym składzie ma gotowe ubrania, wykończone według najmodniejszego kroju. Wszelkie zamówienia uskutecznia w najkrótszym czasie po cenach najumiarkowańszych. (438-12-12)

W. Bazes w Krakowie, Rynek Główny nr. 16. Skład szkła, porcelany, fajansu i listew złoconych, oraz świeczników kościelnych i salonowych. Przyjmuje także oszklenia nowych jakoteż starych budynków z lustrowych, belgijskich i krajowych tafli, po jak najumiarkowańszych cenach. Wszelkie zamówienia uskutecznia odwrotną pocztą. (541-6-1)

W Instytucie naukowym, ul. Piekarska l. 21. rozpoczął się nowy kurs z dniem 1. września. Instytut przygotowuje do egzaminów wstępnych do szkół kadeckich i do wszystkich c. k. Zakładów i akademji wojskowych, tudzież na jednorocznych ochotników. W pensjonacie Zakładu ma młodzież najtroskliwszą ojcowską opiekę, przy Zakładzie jest ogród i gimnastyka. Instytut utrzymuje także szkołę szermierki pod kierownictwem znanego Dyrektora koncesjonowanego Zakładu szermierki Alfreda Assinga. Gdy zwykle a szczególnie w r. b. wielka ilość kompetentów do szkoły kadeckiej odpadła z powodu wątłej i mało rozwiniętej budowy ciała, zaleca się szczególnie pensjonat Zakładu, który nie szczędzi środków by młodzież fizycznie rozwijała się należycie.

Pensjonat przyjmuje także uczniów szkół średnich publicznych na wikt, mieszkanie i domowe korrepetycje i zarazem kwalifikuje ich na przyszłych jednorocznych ochotników. **Koestlich** dyrektor Zakładu. (610-4-4)

E. Leicht. Fabryka pozłotnicza w Krakowie w domu gdzie kawiarnia Wielandowej, poleca wykonanie kościelnych dekoracyj, wszelkich salonowych robót, bieli staloryty i drzeworyty; także posiada gotowe konsole ścienne i stoliki pod lustra. Przyjmuje reperacje antyków. Zamówienia załatwia jak najspieszniej po bardzo umiarkowanej cenie. (545-12-8)

Andrzej Szklarski. Fabryka siodeł i wyrobów rymarskich przy ulicy Florjańskiej w Krakowie, poleca skład własnego wyrobu siodeł męzkich i damskich, uprzęży różnego rodzaju, przyborów podróżnych i myśliwskich, oraz wszelkich wyrobów galanteryjno-siodlarskich po cenie umiarkowanej. Wszelkie zamówienia nowych przedmiotów i reperacyj wykończa najstaranniej i najpunktualniej, skład ten zaszczycony jest 7 medalami na różnych wystawach kraju. (572-12-7)

Med. i Chir. **Dr. Mahl** (do chorób gardła i piersi) powrócił i ordynuje jak dawniej od 3. do 4. ulica Jagiellońska l 14. (608-9-4)

Fabryka krakowskich pierników **Kaspra Molęckiego** w Krakowie przy ulicy Brackiej, poleca pierniki toruńskie salonowe. (607-?-4)

Fedumo i Schramm polecają w najnowsze maszyny i przyrządy zaopatrzony zakład introligatorski i galanteryjny w Krakowie Rynek główny l. 16 w podwórzu na dole. Przyjmują najozdobniejsze i najpojedyńczsze oprawy książek i wszelkie inne roboty w zakres introligatorski wchodzące i wykonują takowe po cenach najniższych. (548-12-6)

Dla tego tak tanio, że nie na froncie! Skład papieru, przyborów szkolnych i galanterji. W kamienicy przechodniej Andriolego w podwórzu z Rynku na prawo, a od Jezuitów na lewo, skład się znajduje. Główny skład wzorów pism Eustachego Jachimowskiego sprzedaje taniej jak wszędzie, **Antoni Jachimowski.** (597-4-4)

Handel pod „Palmą“ **Antoniego Hawełki** w Krakowie, poleca wszelkie towary korzenne, wina, rumy i araki, likiery, porter angielski, piwo, herbatę rosyjską braci K. i S. Popow, w paczkach orygin. i londyńską na funty, i wszystko co wchodzi w zakres handlu korzennego. (567-18-7)

Ludwik Solecki rękawicznik i bandażysta naprzeciw „Hotelu Galicyjskiego“ w Kołomyi, poleca P. T. Publiczności swój SKŁAD wyrobów rękawiczniczych t. j rękawiczek balowych, glase różnokolorowych, jeleńkowych rozmaitych gatunków, szelek, i t. p. po cenie umiarkowanej. (618-4-3)

Karol i Józef Fiedler przy placu Franciszka Józefa w kamienicy Pani Landau, przedtem w Hotelu pod koleją żelazną, w Stanisławowie polecają swój istniejący od lat 30 obficie zaopatrzony Magazyn Mebli we wszelkiego rodzaju a najgustowniejszych — po miernej cenie. Wszelkie zamówienia uskutecznia szybko i sumiennie. (615-4-4)

Franciszek Dobrowolski przy ulicy Władycz niższy w domu p. Jarolima budowniczego nr. 149 w Przemyślu, poleca ogromny zapas wszelkiego rodzaju lnu własnego wyrobu, płótna od najcieńszej do najgrubszej, tudzież ręczniki, obrusy, serwetki, wszystko wykonuje we własnej fabryce z prawdziwego lnu, i sprzedaje takowe po miernej cenie. (579-12-6)

W zakładzie ortopedycznym

Dr. Edwarda Madejskiego

we Lwowie ul. Kopernika l. 13

przyjmuje się ułomne, lub ułomnością zagrożone dzieci, jak: z skrzywieniem kości pacierzowej, z krzywemi nogami, kontrakturą wszelkiego rodzaju — do wyleczenia za pomocą gimnastyki leczniczej i przyrządów ortopedycznych.

W tym zakładzie urządzone są także dwa pokoje z wszelkiemi wygodami i z łazienką na wzór zagranicznych *maison de santé* dla chorych, którzy dla dłuższej kuracji do Lwowa zjeżdżają, pozostawiając chorym wybór lekarza.

Bliższych szczegółów udziela właściciel i dyrektor zakładu ustnie, lub pisemnie pod powyżej podanym adresem. (240-8-8)

Tapety francuskie, holenderskie i saskie świeżo sprowadzone, w rozmaitych gatunkach i w wielkim wyborze rulon od 20 ct. i wyżej, także sztukaterye sufitowe, ceraty na meble i story do okien — polecają **Kutrzeba Murczyński** w Krakowie. (461-20-17)

A. Rothe przy ulicy Sławkowskiej l. 260 w Krakowie, poleca swój magazyn obficie zaopatrzony z własnej fabryki pierników kilkanaście gatunków, które zupełnie na sposób toruńskich pierników są sporządzane, tak że przewyższają wszystkie dotychczas istniejące w kraju dobrocią tak i trwałością w konserwowaniu się — a przytem poleca i wyrób świec woskowych i stearynowych własnego wyrobu. Wszelkie zamówienia uskutecznia sumiennie i szybko pod gwarancją. Ceny umiarkowane. (571-12-7)

Skład trumien metalowych

Fr. Ebert

w Krakowie przy ulicy Franciszkańskiej l. 165. (562-12-9)

J. Cirok przedtem *E. Ziegler* rękawicznik i bandażysta we Lwowie Rynek l. 30, poleca swój skład własnego wyrobu wszelkiego rodzaju *towarów rękawiczniczych* mianowicie: szelki, krawatki, szaliki, bandaże płócienne i elastyczne, pończochy gumielastyczne, oraz rozmaite wyroby skórkowe po stałych i umiarkowanych cenach. Zamówienia z prowincji uskuteczniają się odwrotną pocztą. (474-12-11)

Zakład naukowo wychowawczy żeński **Eufemii Niesiołkowskiej** w Krakowie ulica św. Jana l. 312, obok domu księżnej Cecylji Lubomirskiej. Jak dotąd tak i nadal poleca się względom szanownych rodziców i opiekunów. Udziela się tamże prócz nauk szkolnych języków: francuskiego, angielskiego, niemieckiego, rysunków, muzyki, śpiewu. Konwersacja ciągła z cudzoziemcami zostającymi w zakładzie. Szanowni rodzice życzący sobie swe córki umieścić w tymże zakładzie, raczą zgłaszać się listownie lub osobiście. Programy na żądanie przesyłane. (554-12-4)

Pasquale Zacchi

we Lwowie

Poleca rozmaite statuy i statuetki Przenajśw. Panny Marji, na nabożeństwa majowe, z gipsu-steryny, masy, alabastru i marmuru w różnych rozmiarach, po cenach umiarkowanych, począwszy od 25 do 30 ct. i wyżej.

Nauki historji i literatury

udziela się pod bardzo korzystnymi warunkami.

Zgłoszenia listownie p. adr. E. Z. w Administracji „Dziennika dla Wszystkich“.

Zmiana lokalu. Ferdynand Fiedler w Stanisławowie fabryka wyrobów mebli, oraz wielki skład mebli w domu własnym, dawniej w hotelu Kamińskiego, obecnie przeniósł do domu *L. Krona* w miejscu dawnej poczty. Posiada pracownię stolarską, jest w możności wykonywać wszelkie roboty stolarskie hurtownie i częściowo, podług rysunku, trwale, szybko i po umiarkowanej cenie. (616-6-4)

Wyciąg z cennika towarów z magazynów

JULIUSZA MIKOLASZA

we Lwowie za rogatkami grodeckiemi.

I. Kawa przednia gruboziarnista 1 kilo . . . . zł. 2·—
II. „ perłowa 1 kilo . . . . „ 2·—
III. „ Mocca 1 kilo . . . . „ 1·50
IV. „ bardzo dobra Ceylon 1 kilo . . . . „ 1·85
V. „ Jawa złota 1 kilo . . . . „ 2·—
Koniak bardzo stary Maison blanche cała flaszka . . . . „ 10·—
pół flaszki . . . . „ 5·50

Cenniki rozsyłam na żądanie franco. (585-?-6)

OGŁOSZENIA.

J. DĄBROWSKI

przedtem

J. Dąbrowski i L. Weigel

we Lwowie, przy ulicy Halickiej pod liczba 17.
dawniej „W. PENTHER“ (630-4-2)

oprócz **Zegarków i Zegarów** z najsłynniejszych fabryk, **otrzymał wielki zapas złotych i srebrnych rzeczy.**

Szczególnie zwraca sie uwagę na **wyprawy weselne** ze srebra, na 6 i 12 osób w szkatułach.

Wszelkie zamówienia z prowincji uskuteczuia się jak najrychlej.

Cukiernia i fabryka pierników

Z. LITWIŃSKI

we Lwowie, ul. Kręta l. 5.

Utrzymuje własnego wyrobu rozmaite cukierki ¼ kl. 1·20, karmelków ½ kl. 75 ct., i najwyborniejsze pierniki własnego wyboru, ciasta do kawy, herbaty, desertowe po 4 ct. Przyjmuje wszelkie zamówienia na lody i konfitury. (504-?-7)

Poleca Szan. Publiczności:

NAJLEPSZA

HERBATA

Wyłączny handel herbaty **rosyjskiej**

IZYDOR WOHL we Lwowie.

ul. Sykstuska l. 6.

Konkurując przez najskrupulatniejszą rzetelność.

Franciszek Chęciński skład futer przy placu Franciszkańskim obok Magistratu nr. 143 w Krakowie. Poleca skład własnych wyrobów kuśnierskich, futer męzkich i damskich, rękawków, kołnierzy, czapek i t. d. Przyjmuje futra do przechowania przez lato, wszelkie zamówienia oraz reperacje wykończa najstaranniej i najpunktualniej po cenie umiarkowanej. (538-9-9)

Józef Riedel w Krakowie, w Rynku Głównym nr. 46, poleca skład płócien, bielizny stołowej, damskiej i męzkiej, pończoch, przyborów do szycia i haftu, materyj i potrzeb do aparatów kościelnych, parfumeryj i herbaty. Posiada własną pralnię i szwalnię na wzór zagranicznych. (558-12-8)

Do sprzedania

Dom wielki piękny i w bardzo dobrym stanie przy ul. Sykstuskiej l. 37. Wiadomość tamże. (632-1-1)

Antoni Jachimski poleca skład futer i czapek futrzanych oraz wszelkich wyrobów kuśnierskich, w Krakowie przy ulicy Grodzkiej pod l. 61. Przyjmuje futra do przechowania, przez lato. Zamówienia wykonują się punktualnie i po cenach umiarkowanych. (563-9-8)

KALOSZE rosyjskie i wiedeńskie

mezkie, damskie i dziecinne, poleca główny skład tychże

WILHELMA ADAMA we Lwowie

przy placu Marjackim l. 10.

Wieńce grobowe

ma ogromny wybór i poleca najtaniej skład

WILHELMA ADAMA we Lwowie

przy placu Marjackim pod l. 10. (629-3-2)

HAFTY KOLOROWE!

Jedyne źródło w którem oprocz zagranicznych są również wyroby krajowe z własnej pracowni, haftowane najnowszemi ściegami i na różnych najnowszych materjałach.

Liczne podziękowania i pochwały któremi na żądanie mogę się wykazać, są dostateczną reklamą, tak co do gustu, starannego wykonania, jak i najtańszych cen.

Wszelkie nadzwyczajne zamówienia na roboty haftowane, jakiegobądź rodzaju, wykonuje szybko i starannie. Z uszanowaniem

F. Bruno Hahn

(536-12-8) ***Kraków, ul. Grodzka l. 53.***

H. Niemetz

Gł. Rynek nr. 36 w Krakowie.

(535-12-8)

Poleca Sz. Pub. swoją wyłącznie główną ajencję amerykańskich Howego i Singera patentowych MASZYN DO SZYCIA które sprzedaję także na raty miesięczne lub tygodniowe z 5-letnią gwarancją. — Utrzymuję zarazem ***Zakład optyczny i towary galanteryjne.*** Przyjmuję wszelkie reperacje optyczne i maszyny do szycia.

W. Babirecki, rękawicznik i bandażysta w Czerniowcach, Ratuszowa ulica, vis a vis „Złotej gruszki“, poleca swój wyborowy skład rękawiczek, krawatek, szelek, najrozmaitszych bandaży etc. po najumiarkowańszej cenie. (621-4-4)

M. Keller nowo otworzony handel w Stanisławowie. Poleca swój zawsze doborowo zaopatrzony skład towarów korzennych, i piwo sedelmajerowskie, po cenach najumiarkowańszych. (619-4-4)

Fr. Kuczabiński ze Lwowa, przy ul. **Schlangengasse w Czerniowcach**, uznany przez znawców muzyki jako jedyny specjalista w swoim zawodzie i przyjmuje wszelkie reperacje odnowienia i przerobienia fortepianów. Na żądanie wyjeżdża w okolicę do strojenia i naprawy fortepianów. (622-4-4)

Handel W. T. A. Wielogórskiego w Tarnowie poleca towary galanteryjne i norymbergskie, rękawiczki pragskie, laski. Wszelkie przybory do szycia i haftu, zabawki dziecinne, fajki, cybuchy i cygarniczki po umiarkowanych cenach. (576-12-8)

H. Goldstein, przy ulicy Trybunalskiej l. 16, poleca swoją nowo urządzoną pracownię i skład gotowych sukien i bielizny męzkiej tudzież wielki wybór materyj krajowych i zagranicznych. Bundy do podróży. — Ceny umiarkowane. (625-3-3)

Firmie **A. Czałowski i Henryk Katzenellenbogen** w. c. k. sądzie handlowym w Stanisławowie zaprotokołowanej, została przez Fh. Bredta właściciela fabryki wyrobu machin i narzędzi rolniczych jeneralna reprezentacja powierzoną. Oprócz tego utrzymujemy także na składzie z innych fabryk zagranicznych, narzędzia i naczynia służące do gospodarstwa wiejskiego, domowego, rękodzielniczego lub zakładów fabrycznych. (617-5-4)

Szymański i Gregorowicz w Czerniowcach rynek. Poleca na sezon jesienny i zimowy towary najmodniejsze z fabryk krajowych i zagranicznych. Sukna i korty w najlepszych gatunkach — przytem zamówienia można w przeciągu 24 godzin odbierać. Na żądanie próbki franko posyłają. (620-10-4)

KAROL MARKUS

w Krakowie, ul. Starowiślna.

Poleca wielki skład trumien metalowych w największym wyborze po najtańszej cenie. — Przytem wykonuje wszystkie roboty blacharskie, tj. obbija dachy, ornamenta robi i wszystko co tylko w zakres blacharski wchodzi. Zamówienia uskutecznia szybko i sumiennie. (544-9-8)

Antoni Müller

we Lwowie, ulica Halicka pod l. 17, poleca:

Cylindry najnowszego fasonu. **Kapelusze** składane (chapeaux claques) tybetowe i atłasowe, **Kapelusze** filcowe czarne i kolorowe, **Kapelusze** dla chłopczyków i dzieci, **Czapki** filcowe i sukienne różnego rodzaju. — Również poleca w wielkim wyborze, **koszule** białe i kolorowe, **kołnierzyki i manszety, krawatki i szaliki, chusteczki** do nosa płócienne i jedwabne, **szelki i spinki** do koszul i manszet, **parasole** jedwabne i alpakowe, **płaszcze** nieprzemakalne angielskie, **kalosze** francuskie, **kufry, torby i pudełka** na kapelusze i t. p.

Zlecenia z prowincji uskutecznia się odwrotną pocztą.

CENNIK POKOI

wraz z pościelą

w hotelu „Victoria“

przy ulicy Św. Anny pod liczbą 197 D. I. w Krakowie.

I. piętro.				II. piętro.			
Nr. 1	1 salon z przedp.	łóżek 3	4.50	Nr. 10	1 pokój z przedp.	łóżek 3	4.—
„ 2	1 salon obszerny	„ 2	4.—	„ 11	1 salon obszerny	„ 2	3.75
„ 3	1 pokój	„ 1	2.75	„ 12	1 pokój	„ 1	2.25
„ 4	2 pokoje	„ 2	3.25	„ 13	2 pokoje	„ 2	3.—
„ 5	1 pokój	„ 1	1.75	„ 14	1 pokój	„ 1	1.50
„ 6	1 „	„ 1	1.75	„ 15	1 „	„ 1	1.25
„ 7	2 pokoje	„ 2	2.50	„ 16	1 „	„ 1	1.—
„ 8	1 pokój	„ 1	1.75	„ 17	1 „	„ 1	1.25
„ 9	2 pokoje	„ 2	2.75	„ 18	1 „	„ 1	1.—
				„ 19	1 „	„ 1	.75
				„ 20	1 „	„ 1	1.50
				„ 21	2 pokoje	„ 2	2.25

(338-12-12)

Właściciel hotelu poleca się łaskawym względom szanownej publiczności. ***Al. Heurteux.***

PŁÓTNA KRAJOWE

wyrobu tkaczy blażowskich przydatne na grubsze prześcieradła, maglowniki, kalesony, ścierki i sienniki.

Skład w handlu

J. DREXLERA & SYNÓW

przy placu Kapitulnym l. 2, we Lwowie.

Na żądanie próbki wysyłamy franco. (577-3-3)



ALEKSANDER ŁADNOWSKI,

Artysta dramatyczny sceny krakowskiej.

(Rysowane podług fotografji W. Rzewuskiego w Krakowie.)

Aleksandrowi Ładnowskiemu

W DZIEŃ 50-LETNIEGO JUBILEUSZU.

Z barwami cudnemi — na biednej tej ziemi —
Wyrasta kwiat czynu i cnoty —
Otula go wiara — i miłość prastara,
I pieści go słońca blask złoty!

Zroszony on łzami — i potu kroplami —
Więc we łzach odbija łzy świata —
Wdzięczy się do ludzi — szacunek w nich budzi,
I z pracą mozolną się brata!

Przecudne to kwiecie — niezwykłe na świecie —
Wymaga uprawy mozolnej —
Kto pragnie rozkwitu — ten musi od świtu —
Pracować na niwie tej polnej.

Z tych kwiatów się składa — już wieniec nie lada —
I wzmacnia na sile, na duchu —
Dziś jeszcze z Twej niwy — przynosisz szczęśliwy —
Do wieńca, kwiat pracy — nasz druhu! —

Za wszystkie więc trudy — za ciernie, za zmudy,
Coś przeniósł w swej długiej żegludze,
Dziś grono współbraci — wdzięcznością Ci płaci
Oddaje cześć Twojej zasłudze.

Bolesławicz.

Odpowiedzialny redaktor i odpowiedzialny wydawca: Jan Chechliński·

Z drukarni K. Pillera.

Dodatek powieściowy

do Nr. 32. i 33.

DZIENNIKA DLA WSZYSTKICH

BEZ RODZINY

POWIEŚĆ

przez

HEKTORA MALOT

Przekład z francuskiego.

(Ciąg dalszy, patrz Dodatek Nr. 31.)

I w cztery dni po bytności w Seyssel, czekamy już w pobliżu Vevey, pośród rozlicznych willi, posuwających się zacząwszy od jeziora o błękitnych wodach, coraz wyżej, po zielonej pochyłości zarosłej drzewami góry, rozpytujemy, którą z nich zamieszkuje pani Milligan z Arturem i Lizią; nakoniec przybyliśmy, a czas też już wielki, bo zaledwie pozostały nam trzy soldy w kieszeni i u trzewików naszych, podeszew nie ma wcale.

Ale Vevey to nie mała wioseczka, jakeśmy myśleli, lecz miasto, a nawet więcej, aniżeli miasto zwyczajne, ponieważ łączy je niemal z Villeneuve cały szereg willi niby przedmieść, mianowicie: Blonay, Corsier, Tout-de-Peilz, Clarens, Chernex, Montreux, Veyteaux i Chillon. A dopytywać się o panią Milligan, jako o angielkę mieszkającą z chorym synkiem i niemą dziewczynką, uznaliśmy bardzo prędko za rzecz niemożliwą, gdyż samo Vevey, jak również i brzegi jeziora, tak licznie są zamieszkane przez Anglików, jakby to było naprzykład w jakiejś pięknej miejscowości w okolicach Londynu.

Najlepiej więc, abyśmy zwiedzili sami wszystkie domy mieszczące cudzoziemców, co znów nie jest rzeczą tak niemożliwą do wykonania, bo na to potrzebujemy tylko dawać przedstawienia z kolei na każdej ulicy.

W ciągu jednego dnia przebiegliśmy całe Vevey i zebraliśmy piękną sumkę; dawniej, gdy nam potrzeba było pieniędzy na krowę, lub na lalkę dla Lizi, byłoby nas to uszczęśliwiło na cały wieczór, lecz teraz nie o zysk nam chodziło. Nigdzie nie znaleźliśmy najmniejszej wskazówki dotyczącej pani Milligan.

Nazajutrz te same poszukiwania ciągniemy dalej w okolicy Vevey, idąc prosto przed siebie, gdzie nas droga prowadzi, grając przed oknami wszystkich domów posiadających okazały pozór, bez względu, czy te okna zamknięte, czy otwarte; lecz wieczorem powróciliśmy tak samo, jak dnia poprzedniego, a jednak przebiegliśmy całą drogę od jeziora na góry do jeziora, patrząc uważnie wokoło i od czasu do czasu zapytując tych mieszkańców, po których wyrazie twarzy ocenialiśmy, że nas chętnie wysłuchają i zechcą odpowiedzieć.

Tego dnia dwukrotnie ucieszono nas mylnemi wskazówkami, odpowiadając, że chociaż nie wiedziano jej nazwiska, lecz znano doskonale panią, o której mówiliśmy; raz więc wysłano nas do szałasu w góry, a drugi raz zapewniano, że mieszka nad samem jeziorem; w jednem i drugiem miejscu mieszkały wprawdzie angielki, lecz nie pani Milligan.

Zwiedziwszy sumiennie okolice przyległe Vevey, posunęliśmy się nieco dalej ku Clarens i Montreux, zasmuceni złym wynikiem naszych poszukiwań, nie zniechęceni jednak wcale, pocieszając się nadzieją, że co się nie powiodło jednego dnia, powiedzie się niezawodnie w dniu następnym.

Raz przechodziliśmy drogą otoczoną z obydwóch stron murem, to znów ścieżką wijącą się wśród sadów i winnic, to znów pod cieniem tak olbrzymich kasztanów, że w skutek tamowania przez ich gęste liście światła i powietrza, żadna inna roślina nie mogła rosnąć pod ich osłoną, oprócz delikatnego mchu.

Na tych drogach i ścieżkach prawie, co kilka kroków spotykało się żelazne kraty, lub drewniane sztachetki, a za poza nich widać było ulice ogrodowe starannie wysypane piaskiem, okalające trawniki, sztucznie utworzone zarośla i klomby kwiatów; wśród tej zieleni ukryty, wznosił się dopiero zbytkowny pałacyk, lub wychylał wdzięczny domek uwieńczony pnącemi roślinami a prawie ze wszystkich tych pałacyków i domków rozciągał się piękny widok umiejętnie z poza gęstwiny drzew i krzewów ukazujący błyszczące, jasne wody jeziora, ujęte w ciemne ramy gór.

Ogrodyte stawały się niejednokrotnie przyczyną pawdziwej naszej rozpaczy, gdyż przez nie zmuszeni byliśmy stawać w pewnej od domów odległości i wtedy śpiew nasz i muzyka, jeżeli nie były wykonywane z natężeniem wszystkich sił, nie dochodziły do mieszkańców tych domów, a znów, gdy się gra i śpiewa od rana do wieczora, to nakoniec niesłychanie utrudza.

Gdy tak pewnego popołudnia dawaliśmy koncert na środku drogi, mając przed sobą tylko żelazną kratę i właściwie dla niej śpiewając, a poza sobą mur, na który przecież nie zwracaliśmy wcale uwagi i gdy prześpiewawszy na cały głos pierwszą strofkę mej neapolitańskiej piosenki, miałem zacząć drugą, nagle usłyszeliśmy za sobą poza tym murem właśnie, śpiewający głos jakiś słaby i dziwnie brzmiący:

Vorria arreventare no piccinato,
Cona lancella ogni vennenno acqua.

Czyj to mógł być głos?

— Artur? — zagadnął pytająco Mattia.

Ale nie, to nie był głos Artura; a jednak Capi skomląc z oznakami najżywszej radości skakał na mur.

Niezdolny panować dłużej nad sobą, zawołałem:

— Kto śpiewa?

Głos odpowiedział:

— Romcio!

Moje imie w miejsce odpowiedział. Mattia i ja spojrzeliśmy na siebie osłupieni.

Gdy tak stoimy z głupiemi minami naprzeciwko siebie, ujrzałem za Mattiem, przy końcu muru, ponad nizkim żywopłotem, powiewającą białą chustkę; natychmiast pobiegliśmy w tamtą stronę.

Przy samym płocie dopiero, mogliśmy zobaczyć osobę, do której należała ręka powiewająca chustką: Lizia!

Nakoniec znaleźliśmy ją, a wraz z nią panią Milligan i Artura.

Ale kto śpiewał? Było to najpierwsze pytanie, jakie jej zadaliśmy równocześnie obydwaj, skoro tylko mogliśmy przemówić.

— Ja — Lizia odpowiedziała.

Lizia śpiewała! Lizia mówiła!

Wprawdzie słyszałem tysiąc razy powtarzane, że Lizia odzyska kiedyś mowę i prawdopodobnie nastąpi to w skutek wstrząśnienia organizmu przez silne wzruszenie, lecz nie sądziłem nigdy, aby to w istocie mogło się ziścić.

A jednak przepowiednie doktorów urzeczywistniły się: Lizia mówiła, spełnił się cud; i to właśnie usłyszawszy mój głos, zobaczywszy mnie, wówczas, gdy mogła sądzić, że byłem dla niej straconym na zawsze, doznała tego silnego wstrząśnienia.

Na tę mysl ja sam czułem się tak mocno wzruszonym, iż musiałem się uchwycić gałęzi żywopłotu. Ale nie była to pora do poddawania się wrażeniom.

— Gdzie pani Milligan? — zapytałem, gdzie Artur?

Lizia poruszyła ustami chcąc odpowiedzieć, lecz z piersi jej wydobywały się niewyraźne tylko dźwiękl; aż zniecierpliwiona zwróciła się znów do swej dawnej mowy za pomocą znaków, by się prędzej wytłómaczyć i być zrozumianą, gdyż język jej i umysł niezdolne były jeszcze posługiwać się słowami. Śledząc wzrokiem wykonywane przez nią znaki niezrozumiałe dla Mattia, ujrzałem zdaleka w ogrodzie na zakręcie ulicy wózek popychany przez służącego, w wózku tym leżał Artur, a obok niego postępowała matka i... pochyliłem się, aby lepiej zobaczyć... i p. James Milligan; w tej chwili schowałem się za płot mówiąc Mattji z pośpiechem, aby zrobił to samo, nie zastanowiwszy się, że przecież master James nie znał mego towarzysza wcale.

Po przejściu pierwszej trwogi, pomyślałem, że Lizia musi być wielce zdziwioną naszem nagłem zniknięciem, podniosłszy sie więc nieco powiedziałem jej z cicha:

— Nie trzeba, aby pan James Milligan widział mnie, gdyż mógłby mnie odesłać napowrót do Anglji.

Lizia podniosła obydwie ręce z przestrachem.

— Stój spokojnie, — mówiłem dalej, — i nie wspominaj o nas; jutro rano o dziewiątej przyjdziemy znowu tutaj; staraj się być samą, a teraz odejdź.

Lizia zawahała się.

— Odejdź, proszę cię, albo mnie zgubisz.

Po tych słowach rzuciliśmy się do ucieczki i wkrótce pod osłoną muru dobiegliśmy do winnic, które nas ukryły; tam po przejściu pierwszych chwil radości, mogliśmy się rozmówić i naradzić.

— A wiesz ty, — rzekł Mattia, — że ja wcale nie mam ochoty odkładać do jutra widzenia z panią Milligan; przez ten czas master James może zabić Artura... Owszem pójdę do niej zaraz i powiem jej... to wszystko, co wiemy, a ponieważ master James nie widział mnie nigdy, nie ma więc obawy, aby pomyślał o tobie i rodzinie Driscoll; niech sama pani Milligan zdecyduje, co mamy dalej robić.

Rada Mattja miała wiele dobrych stron; pozwoliłem mu więc iść, naznaczając spotkanie w poblizkiej gęstwinie kasztanów, gdzie, jeżeli przypadkiem zobaczyłbym nadchodzącego pana James Milligan, mógłbym się schronić bezpiecznie. Leżąc na mchu długo czekałem na powrót Mattji, zapytując siebie po raz dziesiąty może, czy tylko nie była to z naszej strony pomyłka, aż nakoniec zobaczyłem mego towarzysza idącego wraz z panią Milligan.

Pobiegłem naprzeciwko niej, a schwyciwszy rękę, którą do mnie wyciągnęła, okryłem ją pocałunkami; lecz pani Milligan objąwszy mnie w ramiona, złożyła serdeczny pocałunek na mem czole.

Już to po raz drugi pani Milligan obdarzała mnie taką pieszczotą, lecz zdawało mi się, że za pierwszym razem nie obejmowała mnie w ramiona.

— Biedne dziecko! — rzekła.

I rozgarnąwszy pięknemi białemi palcami moje włosy, wpatrywala się we mnie długo.

— Tak... tak... — szepnęła.

Słowa powyższe odpowiadały zapewne jakiejś wewnętrznej myśli, lecz zanadto byłem wzruszonym, abym ją mógł odgadnąć; czułem w spojrzeniu pani Milligan spoczywającem na mnie tkliwość i to mnie tak uszczęśliwiło, iż nie byłem w stanie myśleć o niczem więcej, jak tylko o chwili obecnej.

— Moje dziecko — odezwała się pani Milligan, nie spuszczając ze mnie wzroku — towarzysz twój przyniósł mi wieści nader ważne; czy zechcesz także ze swej strony opowiedzieć mi wszystkie szczegóły dotyczące twego przybycia do rodziny Driscoll, jak również odnoszące się do odwiedzin p. James?

Spełniłem jej żądanie, a przez cały czas mego opowiadania, pani Milligan przerywała je wtedy tylko, gdy chciała dokładniejszego objaśnienia, jakiegoś faktu: nigdy jeszcze nie słuchał mnie nikt z taką uwagą; oczy jej, ani na chwilę nie odwracały się od mej twarzy.

Gdy przestałem mówić, pani Milligan milczała dość długo patrząc na mnie ciągle, nakoniec odezwała się:

— Wszystko to są rzeczy niesłychanie ważne dla ciebie, dla nas wszystkich; musimy też postępować z wielką ostrożnością i poradzić się osób zdolnych kierować nami, ale odtąd powinieneś się uważać jako towarzysz, jako przyjaciel — tutaj zawahała się nieco — jak brat Artura, i od tej chwili porzucicie, ty i twój towarzysz, wasze nędzne dotychczasowe życie; za dwie godziny udacie się do Teritet do hotelu alpejskiego, gdzie poślę zaufaną osobę, aby dla was wynajęła mieszkanie; tam zobaczymy się powtórnie, gdyż teraz muszę się rozstać z wami.

I uściskawszy mnie raz jeszcze, Mattji podała rękę, poczem oddaliła się szybko.

— O czem opowiadałeś pani Milligan? — zapytałem Mattji.

— O tem wszystkiem, o czem ci mówiła w tej chwili i jeszcze o wielu innych rzeczach. Ach! jaka to dobra pani! jaka piękna pani!

— A Artura widziałeś?

— Z daleka tylko, ale zdaje mi się, że musi to być bardzo poczciwy chłopiec.

Wypytywałem Mattji dalej, lecz unikał odpowiedzi, lub dawał wymijające, rozmawialiśmy więc o rzeczach obojętnych aż do chwili, w której według zalecenia pani Milligan udaliśmy się do hotelu alpejskiego. Chociaż mieliśmy na sobie nędzne ubrania wędrownych grajków, przyjął nas jednak służący w czarnym fraku i białym krawacie, by zaprowadzić do przeznaczonego dla nas mieszkania: jakże pięknym wydawał nam się ten pokój; były tam dwa łóżka biało posłane, a okna wychodziły na taras zwieszający się ponad jeziorem, zkąd rozciągał się prawdziwie cudowny widok. Powróciwszy wreszcie z tarasu do pokoju spostrzegliśmy, że służący stał ciągle w nieruchomej postawie oczekując naszych rozkazów i zapytał co sobie życzymy na obiad i czy go ma podać na tarasie?

— Macie ciastka z konfiturami? — zapytał Mattia.

— Są z porzeczkami, z poziomkami i z wiśniami.

— A więc przyniesiesz nam tych ciastek.

— Wszystkie trzy gatunki?

— Tak jest.

— A co mam podać jako przekąski przed obiadem? jakie pieczyste? jaką jarzynę?

Przy każdem z tych pytań Mattia otwierał wielkie oczy, lecz nie dał się zmieszać.

— Co chcesz, — odparł.

Służący wyszedł z powagą.

— Zdaje mi się, że tutaj zjemy lepszy obiad, aniżeli u Driscoll'ów, — rzekł Mattia.

Nazajutrz przyjechała do nas pani Milligan, a wraz z nią wszedł krawiec i szwaczka bielizny, którym poleciła wziąść miarę na nasze ubrania.

Pani Milligan powiedziała nam, że Lizia wprawiała się ciągle w rozmowę, a według doktorskiej opinji, była już teraz zupełnie uzdrowioną. Spędziwszy z nami całą godzinę, pani Milligan odjechała, pożegnawszy mnie uściskiem, a Mattję podaniem ręki.

Przyjeżdżała tak do nas przez cztery dni okazując się za każdym razem coraz serdeczniejszą i tkliwszą względem mnie, aczkolwiek w jej obejściu przebijało niekiedy pewne skrępowanie, jak gdyby nie chciała się dać unieść temu uczuciu tkliwości, lub go okazać zbyt widocznie.

Piątego dnia w jej zastępstwie przybyła panna służąca, którą dawniej widziałem na „Łabędziu“ i oznajmiła nam, że pani Milligan oczekuje nas w swem mieszkaniu, a przed hotelem stoi powóz mający nas tam zawieść: było to otwarte lando, w którym Mattia usiadł z taką pewnością siebie i szlachetnością ruchów, jak gdyby od dzieciństwa jeździł tylko karetą. Capi także śmiało wdrapał się na poduszki. Przestrzeń oddzielającą hotel od mieszkania pani Milligan przebyliśmy prędko, a jak dla mnie zbyt prędko nawet, bo zdawało mi się, że to wszystko, co nas spotykało od dni kilku, było snem tylko i w głowie mej powstawały szalone myśli, a przynajmniej ja uważałem je za szalone. Wprowadzono nas do salonu, gdzie obok leżącego na kanapce Artura, znajdowała się pani Milligan i Lizia.

Artur wyciągnął do mnie obydwie ręce, pobiegłem do niego i uściskaliśmy się serdecznie; ucałowałem także Lizię, a pani Milligan uściskała mnie.

— Nakoniec, — rzekła, — nadeszła godzina, w której możesz zająć należne ci z prawa miejsce.

A gdy patrzyłem na nią zapytując wzrokiem o wyjaśnienie powyższych słów, pani Milligan otworzyła drzwi do przyległego pokoju i ujrzałem matkę Barberin niosącą na ręku dziecinne ubranie, składające się z białego kaszmirowego płaszczyka, koronkowego czepeczka i białych włóczkowych trzewiczków.

Zaledwie matka Barberin zdążyła położyć te przedmioty na stole, a już chwyciłem ją w objęcia. Przez ten czas gdy się witałem z mą kochaną opiekunką, pani Milligan wydała polecenie służącemu, przyczem usłyszałem tylko nazwisko pana James Milligan i zatrwożony zbladłem.

— Nie potrzebujesz się niczego obawiać, — rzekła ze słodyczą pani Milligan, — owszem, zbliż się do mnie i podaj mi rękę.

W tej chwili otworzyły się drzwi salonu przed panem James Milligan, wchodzącym z uśmiechem na twarzy i ukazującym śpiczaste białe zęby; zobaczył mnie i natychmiast uśmiech ten zmienił się w straszne jakieś wykrzywienie. Pani Milligan nie pozwoliła mu przyjść do słowa.

— Wezwałam pana, — rzekła głosem wolnym, nieco drżącym, — aby ci przedstawić mego starszego syna, którego nakoniec odnalazłam szczęśliwie; — to mówiąc, uścisnęła moją rękę, — oto on. Ale pan go już znasz, bo widziałeś go u człowieka, który go ukradł, gdzie chodziłeś dowiedzieć się o stanie jego zdrowia.

— Co to ma znaczyć? — zawołał pan James Milligan z twarzą zmienioną.

— Człowiek ten, wyznał wszystko; oto list zawiadamiający mnie o tem; opowiedział w jaki sposób ukradł dziecko, jak je porzucił w Paryżu na ulicy de Breteuil, nakoniec, jak przezornie poodcinał znaki z bielizny dziecka, aby go nie odszukano nigdy; to jest właśnie ta bielizna przechowana przez uczciwą kobietę, która przytuliła do siebie mego syna; czy chcesz pan zobaczyć ten list? chcesz zobaczyć tę bieliznę?

Pan James Milligan przez chwilę stał nieporuszony, zapytując siebie zapewne, czy nie byłoby najlepiej zdusić nas wszystkich od razu; poczem zwrócił się ku drzwiom, lecz zanim próg przestąpił, odwrócił się jeszcze.

— Zobaczymy, — rzekł, — co powiedzą trybunały na to podstawienie dziecka.

Bez zmieszania się, pani Milligan — a jak teraz mogę już mówić: moja matka — odparła na to:

— Może nas pan wzywać przed sądy, lecz ja tam nie zaprowadzę tego, który był bratem mego męża.

Drzwi się zawarły za moim stryjem; wtedy rzuciłem się w ramiona mej matki wyciągnięte ku mnie, płacąc jej po raz pierwszy pocałunkami za odbierane pieszczoty.

Gdy nasze wzruszenie uspokoiło się nieco, Mattia zbliżył się do nas.

— Czy zechcesz powiedzieć twej mamie — rzekł — jak wiernie dochowałem jej tajemnicy?

— Więc wiedziałeś o wszystkiem? — zawołałem.

Na to pytanie odpowiedziała moja matka:

— Skoro Mattia opowiedział mi twoje przygody, zaleciłam mu milczenie, bo chociaż byłam zupełnie przekonaną, że biedny Romcio jest mym synem, niemniej przecież potrzeba mi było zebrać pewne dowody, że się nie łudzę. Bo cóżby to za boleść była dla ciebie drogie dziecko, gdybym uściskawszy cię jako mego syna, przyszła ci powiedzieć następnie, iż pomyliliśmy się oboje! Dowody te mamy teraz w ręku i połączyliśmy się na zawsze; na zawsze już pozostaniesz z twoją matką i bratem — a wskazując na Lizię i Mattia — i z tymi, którzy cię kochali w nieszczęściu.

(C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor i odpowiedzialny wydawca: Jan Chechliński.

Z drukarni K. Pillera.